

**GEORGES SIMENON**

# **CIERPLIWOŚĆ MAIGRETA**

**TYTUŁ ORYGINAŁU FRANCUSKIEGO „LA PATIENCE DE MAIGRET”  
PRZEŁOŻYŁA JOANNA KIOZA**

## I

Dzień rozpoczął się niczym wspomnienie z dzieciństwa, był zachwycający. Maigretowi śmiały się oczy podczas śniadania — bez powodu, po prostu dlatego, że życie jest piękne. W oczach siedzącej naprzeciw niego pani Maigret było nie mniej wesołości.

Okna mieszkania, szeroko otwarte, przepuszczały do środka zapachy z zewnątrz i znajome odgłosy bulwaru Richard–Lenoir. Powietrze, już gorące, drgało: delikatna para filtrująca promienie słoneczne sprawiała, iż zdawało się, że można je niemal dotknąć.

— Nie jesteś zmęczony?

Odpowiedział ze zdziwieniem, rozkoszując się kawą, która wydawała mu się lepsza niż w inne dni:

— Dlaczego miałbym być zmęczony?

— Tyle pracowałeś wczoraj w ogrodzie... Od wielu miesięcy nie miałeś przecież w rękach łopaty i grabi...

Był poniedziałek, siódmy lipca. W sobotę wieczorem udali się oboje pociągiem do Meung–sur–Loire, do małego domku, który od wielu lat urządzali z myślą o chwili, kiedy przepisy zmuszą Maigreta do przejścia na emeryturę.

Za dwa lata i kilka miesięcy! Gdy skończy pięćdziesiąt pięć lat! Tak jakby pięćdziesięciopięcioletni mężczyzna, który, jeśli można tak powiedzieć, nigdy nie chorował i którego nie osłabiała żadna ułomność, z dnia na dzień stawał się niezdolny do kierowania brygadą kryminalną!

Najwięcej trudności sprawiało Maigretowi zrozumienie tego, że przeżył już pięćdziesiąt trzy lata.

— Wczoraj — sprostował — przede wszystkim spałem.

— W pełnym słońcu!

— Z chustką do nosa na twarzy...

Cóż za piękna niedziela! *Ragoût* duszące się na wolnym ogniu w niskiej kuchni, wyłożonej niebieskawymi kafelkami; zapach świętojańskich ziół roznoszący się po całym domu; pani Maigret krzątająca się po pokojach w chustce na głowie z powodu kurzu; Maigret w samej koszuli, z rozpiętym kołnierzykiem, w słomianym kapeluszu, wrywający chwasty w ogrodzie, orzący, gracujący, grabiący, by wreszcie, po obiedzie i regionalnym winku, zdrzemnąć się na leżaku w czerwono–żółte paski, gdzie słońce nie omieszkało go dosięgnąć, nie budząc z odrętwienia...

Wracając pociągiem oboje czuli się ociężali, otępiali, oboje szczypały oczy, przywozili zaś ze sobą zapach, który przypominał Maigretowi młodość spędzoną na wsi, przemieszana woń siana, wyschniętej ziemi i potu: zapach lata.

— Jeszcze trochę kawy?

— Chętnie.

Nawet fartuszek jego żony, w drobną niebieską kratkę, zachwycał go swą świeżością, pewnym rodzajem naiwności, podobnie jak zachwycało go odbijające się w szybach kredensu słońce.

— Będzie gorąco!

— Bardzo.

Z chęcią otworzyłby okna, wychodzące na Sekwanę, i pracował bez marynarki.

— Co byś powiedział, gdyby w południe był homar w majonezie? Dobrze było jeszcze spacerować chodnikiem, na którym sklepowe markizy rysowały ciemniejsze prostokąty; dobrze było czekać na autobus obok młodej dziewczyny w jasnej sukience, na rogu bulwaru Woltera.

Sprzyjało mu szczęście. Na przystanku zatrzymał się stary autobus z platformą, mógł więc dalej palić fajkę, patrząc na przesuwające się dekoracje i sylwetki przechodniów.

Dlaczego przypomniało mu to bardzo kolorowy pochód, na który ongi przybiegł cały Paryż, kiedy to Maigret dopiero co się ożenił i był zaledwie młodym i nieśmiałym sekretarzem w komisariacie w dzielnicy Saint-Lazare? Lando, zaprzężone w czwórkę koni, wiozło Bóg wie jakiego władcę obcego państwa, otoczonego postaciami w pióropuszkach, podczas gdy hełmy gwardii republikańskiej lśniły w słońcu. Paryż pachniał tak samo jak dziś, był tak samo jasny, tak samo obeszwałający upałem.

Wtedy nie myślał o emeryturze. Kres kariery, kres życia wydawał mu się bardzo odległy; tak odległy, że nie przejmował się nim. A oto teraz przygotowywał sobie dom na stare lata!

Żadnej melancholii. W sumie dość łagodny uśmiech. Châtelet. Sekwana. Przy Pont-au-Change rybak — był tam zawsze co najmniej jeden. Następnie adwokaci w czarnych togach, gestykulujący na dziedzińcu Pałacu Sprawiedliwości.

Wreszcie Komenda Policji przy Quai des Orfèvres, gdzie znał każdy kamień i skąd o mało go nie wyrzucono.

Niespełna dziesięć dni temu jakiś apodyktyczny prefekt, który nie lubił policjantów ze starej szkoły, zażądał jego dymisji, czyli, jak to bardziej elegancko określał, jego odejścia na wcześniejszą emeryturę, pod pretekstem nieostrożności popełnionych rzekomo przez komisarza.

W dokumentach, które niedbale przeglądał, wszystko bądź prawie wszystko było kłamstwem, co przez trzy dni i trzy noce Maigret usiłował udowodnić, nie mając nawet prawa do pomocy własnych współpracowników.

Nie tylko mu się to udało, ale zdobył jeszcze zeznanie autora całej machinacji, dentysty z ulicy Akacjowej, który miał liczne przestępstwa na sumieniu.

To należało już do przeszłości. Teraz, pozdrowiwszy obydwu wartowników, wspiął się po szerokich schodach na górę, wszedł do swojego biura, otworzył okno, zdjął kapelusz, marynarkę i na stojąco, powoli nabijając fajkę, spoglądał na Sekwanę i pływające po niej statki.

Pomimo niespodzianek, jakie niosą dni, istniały niemal rytualne gesty, które wykonywał bezmyślnie, jak na przykład pchnięcie drzwi do biura inspektorów po zapaleniu fajki.

Przy maszynach do pisania i telefonach nie było nikogo, jako że zaczęły się wakacje.

— Czołem, dzieciaki... Wpadniesz na chwilę, Janvier?

Janvier prowadził śledztwo dotyczące kradzieży w sklepach jubilerskich, a dokładnie z wystaw sklepów jubilerskich. Ostatnia miała miejsce w zeszły czwartek przy bulwarze Montparnasse. Metody te same, które okazywały się skuteczne już od dwóch lat.

— Coś nowego?

— Praktycznie nic. Znowu młodziki: z tego, co mówią świadkowie, dwadzieścia do dwudziestu pięciu lat. Jak zwykle, było ich dwóch. Jeden zbił szybę łyżką do zdejmowania opon. Drugi, trzymający czarną płócienną torbę podróżną, zgarnął biżuterię, wspomagany przez swojego towarzysza. Skok był starannie zaplanowany. Kremowy Citroen DS zatrzymał się w sznurze samochodów na chwilę potrzebną, by obaj mężczyźni wsiedli, i zniknął w ruchu ulicznym.

— Mieli chustki na twarzach?

Janvier skinął potakująco.

— A kierowca?

— Świadkowie nie są zgodni, ale wygląda na to, że to też młodzik, o bardzo ciemnych włosach i smagłej cerze. Jedyne nowe wskazówki, która wcale nie jest pewna: na krótko przed kradzieżą jakaś handlarka jarzyn zauważyła niezbyt wysokiego, krępego osobnika o twarzy boksera, który stał o kilka metrów od sklepu jubilerskiego i wyglądał jakby na coś czekał, i który często podnosił głowę, by sprawdzić godzinę na zegarze nad wystawą, a

następnie na swoim zegarku. Według tej kobiety ani razu nie wyjął ręki z prawej kieszeni. W czasie kradzieży nie ruszył się z miejsca, a kiedy kremowy samochód odjechał, wsiadł do taksówki.

— Pokazałeś zdjęcia podejrzanych twojej handlarce?

— Spędziła ze mną trzy godziny w rejestrze skazanych. W rezultacie formalnie nie rozpoznała nikogo.

— Co mówi jubiler?

— Wrywa sobie resztę włosów, jaka mu jeszcze została. Twierdzi, że trzy dni wcześniej kradzież nie miałaby większego znaczenia, ponieważ zwykle niechętnie wystawia wartościową biżuterię. W zeszłym tygodniu trafiła mu się okazja kupienia partii szmaragdów, a w sobotę rano zdecydował się umieścić je w witrynie.

Maigret nie wiedział jeszcze, że to, co tamtego poranka rozpoczynało się w jego biurze, było początkiem końca pewnej sprawy, którą na Quai des Orfèvres miało się od tej pory określać jako najdłuższą sprawę Maigreta.

W taki oto sposób niektóre rzeczywiste wydarzenia przechodzą do legendy. Opowiadano na przykład między sobą, i również nowicjuszom, o „najdłuższym przesłuchaniu Maigreta”, przesłuchaniu trwającym dwadzieścia siedem godzin, podczas których kelner z piwiarni Dauphine praktycznie bez przerwy przynosił duże kufle piwa i kanapki.

Maigret nie był jedynym, który nękał podejrzanego. Zmieniali go Lucas i Janvier, rozpoczynając za każdym razem na nowo z pozoru nudne przesłuchanie, które skończyło się jednak pełnym zeznaniem.

W pamięci wszystkich było również „najbardziej niebezpieczne aresztowanie Maigreta”; aresztowanie w biały dzień, wśród tłumu, przy ulicy Faubourg–Saint–Antoine, bandy Polaków, kiedy to nie padł ani jeden strzał, chociaż mężczyźni byli uzbrojeni po zęby i gotowi bronić własnej skóry.

Tak naprawdę można by powiedzieć, że dla komisarza sprawa biżuterii rozpoczęła się dwadzieścia lat temu, kiedy zainteresował się niejakim Manuelem Palmarim, przybyłym z Korsyki złodziejem, który zadebiutował skromnie jako sutener.

Była to epoka zmiany warty. Starzy przywódcy gangów, przed wojną właściciele domów publicznych, posiadacze tajnych szulerni i inspiratorzy widowiskowych włamań, kolejno poprzehodzili na emeryturę, nad brzegiem Mamy, na Południu, zaś ci mający najmniej szczęścia czy też najmniej sprytni — w wlezeniu Fontevrault.

Przyszła kolej na młodzików, bardziej bezczelnych niż stara gwardia, wyobrażających sobie, że włamią się wszędzie i obrobiją wszystko, zaś zdezorientowana policja przez długie miesiące będzie trzymana w szachu.

Był to początek napadów na inkasentów i kradzieży w sklepach jubilerskich — w biały dzień, wśród tłumu ludzi.

W końcu udało się ująć niektórych winnych. Na jakiś czas rabunki ustały, po czym ponowiły się, znowu stały się rzadsze, by powtórnie ruszyć na całego dwa lata później.

— Dzieciaki, które aresztujemy, wykonują jedynie rozkazy — oświadczył Maigret, gdy tylko rozpoczęły się te napady.

Nie dość, że za każdym razem pojawiały się nowe twarze, to jeszcze ci, których zatrzymywano, w większości nie figurowali w kartotece policyjnej. Ponadto nie pochodzili z Paryża i wyglądało na to, że przybyli na określony skok z prowincji, zwłaszcza z Marsylii, Tuluzy i Nicei.

Jedynie raz czy dwa dokonano napadu na duże sklepy jubilerskie przy placu Vendôme czy ulicy de la Paix, których systemy alarmowe zniechęcały włamywaczy.

Technika przestępców wkrótce uległa zmianie. Teraz upatrywali sobie mało ważne sklepy jubilerskie, już nie w samym sercu Paryża, lecz w dalszych dzielnicach, a nawet na przedmieściach.

— No więc jak, Manuelu?

Malgret wypytywał Palmariego z dziesięć, ze sto razy, najpierw w barze „Pod Złotym Gwoździem”, który tamten kupił przy ulicy Fontaine i przekształcił w luksusową restaurację, następnie w mieszkaniu, które dzielił z Aline, przy ulicy Akacjowej\*. Manuel nie dawał się zbić z tropu, zaś ich spotkania mogłyby uchodzić za spotkania dwóch przyjaciół.

— Proszę siadać, panie komisarzu. Czego pan znowu chce ode mnie?

Manuel zbliżał się właśnie do sześćdziesiątki, a odkąd dostał sporo kulek z pistoletu — maszynowego, gdy właśnie spuszczał żaluzję w restauracji „Pod Złotym Gwoździem”, nie ruszał się ze swego wózka inwalidzkiego.

— Znasz małego faceta, złośliwego jak małpa, który nazywa się Mariani i urodził się na twojej wyspie?

Maigret napelniał fajkę, jako że spotkania zawsze długo trwały. W końcu poznał każdy najmniejszy zakamarek mieszkania przy ulicy Akacjowej, zwłaszcza narożny pokój pełen popularnych powieści i płyt, gdzie Manuel spędzał całe dni.

— Co on zrobił, ten Mariani? I dlaczego to znowu mnie pan komisarz przychodzi dręczyć?

— Zawsze byłem wobec ciebie w porządku, nie?

— To prawda.

— Oddałem ci nawet kilka drobnych przysług...

To również była prawda. Gdyby nie interwencja Maigreta. Manuel dość często miałby kłopoty.

— Jeśli zależy ci na tym, by to trwało nadal, mów...

Zdarzało się, że Manuel mówił, to znaczy wydawał człowieka wykonującego rozkazy.

— Wie pan, to tylko przypuszczenie. Ja się nigdy nie splamiłem, a moja kartoteka jest czysta jak łąka. Osobiście nie znam tego Marianiego. Słyszałem tylko...

— Od kogo?

— Nie wiem. To tylko pogłoska...

Otóż od napadu, w którym stracił nogę, Palmari praktycznie nikogo nie przyjmował. Jego telefon był na podsłuchu, o czym wiedział, więc dbał o to, by przeprowadzać wyłącznie niewinne rozmowy.

Poza tym od kilku miesięcy, od wzmożenia kradzieży w sklepach jubilerskich, na ulicy Akacjowej ciągle stało dwóch inspektorów policji.

Było ich dwóch, ponieważ jeden zajmował się śledzeniem wychodzącej Aline, podczas gdy jego towarzysz nadal pilnował budynku.

— Dobra... Żeby panu oddać przysługę... Niedaleko Lagny jest gospoda, której nazwy nie pamiętam, a którą prowadzi na wpół głuchy starzec wraz z córką... Zdaje mi się, że słyszałem, iż Mariani szaleje za tą dziewczyną i chętnie się stołuje w gospodzie.

Otóż w ciągu ostatnich dwudziestu lat za każdym razem, gdy u Manuela dawało się zauważyć oznaki wzmożonego dobrobytu, dobrobyt ten zbiegał się ze wzrostem kradzieży w sklepach jubilerskich.

— Odnaleziono samochód? — zapytał Maigret Janviera.

— W małej uliczce w Halach.

— Są odcinki palców?

— Żadnych. Można powiedzieć, że Moers obejrzał go pod mikroskopem.

Była to pora raportu w biurze dyrektora, Maigret dołączył zatem do pozostałych podwładnych.

Każdy z nich przedstawił w paru słowach bieżące sprawy.

— Czy pan dyrektor wie, ile jest sklepów jubilerskich w Paryżu, nie mówiąc o bliskich przedmieściach? Trochę ponad trzy tysiące. Niektóre wystawiają tylko biżuterię i zegarki bez

---

\* Patrz „Maigret broni się”.

większej wartości, ale z grubsza można powiedzieć, że dobry tysiąc wystaw sklepowych ma czym skusić zorganizowaną bandę.

— Jaki pan z tego wyciąga wniosek?

— Weźmy na przykład sklep jubilerski przy bulwarze Montparnasse. Przez całe miesiące w witrynie były tylko pospolite wyroby. W zeszłym tygodniu w ręce sklepikarza przypadkowo trafiły cenne szmaragdy. W sobotę rano przyszło mu do głowy, żeby je wyłożyć na wystawie. W czwartek witryna została rozbita, a klejnoty skradzione.

— Przypuszcza pan...

— Jestem prawie pewien, że jakiś człowiek związany z zawodem obchodzi kolejno wszystkie sklepy jubilerskie, okresowo zmieniając dzielnice. Ktoś zostaje powiadomiony, kiedy tylko w jakimś dogodnym miejscu wystawione są ładne sztuki. Z Marsylii lub skądinąd sprowadza się młodzików, których nauczo techniki i których policja jeszcze nie wykryła. Zastawiłem już pułapkę dwa czy trzy razy, prosząc jubilerów, by wyłożyli rzadkie okazy.

— Banda nie wpadła w sidła?

Maigret potrząsnął głową i zapalił fajkę.

— Jestem cierpliwy — mruknął tylko.

Dyrektor, mniej cierpliwy niż on, nie ukrywał swego niezadowolenia.

— I trwa to od... — zaczął.

— Dwudziestu lat, panie dyrektorze.

Kilka minut później Maigret wrócił do swego biura, rad, że zachował spokój i dobry humor. Po raz kolejny otworzył drzwi do biura inspektorów, ponieważ nie cierpiał wzywania ich przez telefon wewnętrzny.

— Janvier!

— Czekałem na pana, szefie. Właśnie otrzymałem telefon...

Wszedł do Maigreta, zamknął drzwi.

— Nieoczekiwane wydarzenie... Manuel Palmari...

— Nie powiesz mi chyba, że zniknął?

— Został zabity. Dostał sporo kulek w swoim fotelu na kółkach. Komisarz z XVII dzielnicy jest na miejscu i powiadomił prokuraturę.

— A Aline?

— Zdaje się, że to ona wezwała policję.

— Ruszamy.

Będąc już za drzwiami Maigret zawrócił, by wziąć z biurka zapasową fajkę.

\* \* \*

Podczas gdy mały czarny samochód prowadzony przez Janviera jechał przez Pola Elizejskie. Maigret nadal miał na ustach lekki uśmiech, w oczach zaś błyski, które pojawiły się u niego zaraz po przebudzeniu, a które odnalazł też w oczach swojej żony.

Mimo to w głębi duszy odczuwał jeśli nie smutek, to przynajmniej pewną nostalgię. Śmierć Manuela Palmariego nie należała do tych, po których społeczeństwo nosi żałobę. Z wyjątkiem, chociaż wcale to nie było takie oczywiste, Aline, która żyła z nim od kilku lat, a którą wyciągnął z rynsztoka, a także z wyjątkiem paru złodziejasków zawdzięczających mu wszystko, z których każdy jako mową pogrzebową zadowoli się niejasnym stwierdzeniem:

— Należało się tego spodziewać...

Pewnego dnia Manuel zwierzył się Maigretowi, że on także był ministrantem w swym rodzinnym miasteczku. Miasteczku tak biednym, dodał, że młodzi wyjeżdżali zeń zaraz po ukończeniu piętnastu lat, by uciec przed nędzą. Wałęsał się po nadbrzeżach Tulonu, później został barmanem i prędko pojął, że kobiety to kapitał mogący przynieść spore zyski.

Czy miał jakieś zbrodnie na sumieniu?



Niektórzy dawali to do zrozumienia, lecz nikt tego nie udowodnił, zaś pewnego pięknego dnia Palmari został właścicielem lokalu „Pod Żółtym Gwoździem”.

Uważał się za sprytnego i rzeczywiście aż do ukończenia sześćdziesięciu lat tak dobrze lawirował, że nigdy nie naraził się wymiarowi sprawiedliwości. Oczywiście nie udało mu się uniknąć serii z pistoletu maszynowego, lecz siedząc w wózku inwalidzkim pomiędzy książkami i płytami, pomiędzy radiem i telewizją, zachował radość życia, Maigret zaś podejrzewał, iż jeszcze namiętniej, a także czulej, kochał nazywającą go tatuśkiem Aline.

— Źle robisz, tatuśku, przyjmując komisarza. Już ja ich znam, tych gliniarzy; nieźle mi zależli za skórę. A ten wcale nie jest lepszy od innych. Zobaczysz, któregoś dnia to, co z ciebie wyciągnął, obróci się przeciwko tobie.

Zdarzało się, że dziewczyna spluwała na ziemię pod nogi Maigreta, by następnie oddalić się z godnością, kołysząc swym małym, jędrnym tyłeczkiem.

Maigret odwiedził ulicę Akacjową niespełna dziesięć dni temu i oto teraz wracał tam, do tego samego domu, do tego samego mieszkania, gdzie kiedyś stojąc przy otwartym oknie doznał nagle przeczucia, które pozwoliło mu na odtworzenie przebiegu zbrodni dentysty z naprzeciwka.

Przed budynkiem stały dwa samochody. Policjant w mundurze trzymał wartę i na widok Maigreta zasalutował, podnosząc dłoń do swego kepi.

— Czwarte piętro na lewo — mruknął.

— Wiem.

Komisarz policji nazwiskiem Clerdent, stojąc na środku salonu, rozmawiał z małym, pulchnym człowieczkiem o bardzo jasnych, potarganych włosach, białej jak u niemowlęcia skórze i błękitnych, niewinnych oczach.

— Dzień dobry, Maigret.

Widząc, że przybysz spogląda na jego rozmówcę, ociągając się z podaniem ręki, dodał:

— Panowie się nie znają?... Komisarz Maigret... Sędzia śledczy Ancelin...

— Bardzo mi miło, panie komisarzu.

— Cała przyjemność po mojej stronie, panie sędzio. Wiele o panu słyszałem, ale nie miałem jeszcze zaszczytu pracować z panem.

— Otrzymałem nominację w Paryżu zaledwie pięć miesięcy temu. Przez długi czas pozostawałem w Lilie.

Mówił falsetem i pomimo tuszy wydawał się bardzo młody. Można by raczej sądzić, że to jeden z tych wiecznych studentów na uniwersytecie, którzy nie spieszą się zbytnio, by porzucić Dzielnicę Łacińską i łatwe życie. Rzecz jasna, łatwe dla tych, którzy mają nadzianego tatusia.

Miał niedbały wygląd, nosił zbyt ciasną marynarkę i zbyt obszerne spodnie wypchane na kolanach, zaś jego buty przydałoby się wyczyścić szczotką.

W Pałacu Sprawiedliwości mówiono, że ma sześcioro dzieci i jest pantoflarzem, że jego samochód w każdej chwili może się rozlecieć na kawałki, i że aby związać koniec z końcem, mieszka w jednym z tanich domów czynszowych w Antony.

— Natychmiast po telefonie na policję zawiadomiłem prokuraturę — wyjaśnił komisarz.

— Zastępca prokuratora nie przyszedł?

— Za chwilę tu będzie.

— Gdzie Aline?

— Dziewczyna, która mieszkała z denatem? Leży na łóżku i płacze. Czuwa nad nią sprzątaczką.

— Co mówi?

— Niewiele z niej wyciągnąłem i przy jej stanie wcale nie nalegałem. Twierdzi, że wstała o wpół do ósmej. Sprzątaczką przychodzi dopiero o dziesiątej rano. O ósmej Aline zaniosiła Palmariemu śniadanie do łóżka, a potem umyła go.

Maigret znał zwyczaję tego domu. Od zamachu, który uczynił z niego inwalidę, Manuel nie odważył się wejść do wanny. Stał na jednej nodze pod prysznicem, Aline zaś namydlała go, a następnie pomagała włożyć bieliznę i ubranie.

— O której godzinie wyszła?

— Skąd pan wie, że wyszła?

Maigret uzyskałby całkowitą pewność, gdyby zapytał swoich dwu ludzi stojących na warcie na ulicy. Nie zatelefonowali do niego. Bez wątplenia nadejście komisarza policji, potem sędziego śledczego i wreszcie samego Maigreta zaskoczyło ich. Nie wiedzieli, co mogło się wydarzyć wewnątrz budynku. Była w tym jakaś ironia.

— Panowie wybaczą.

Wysoki młody człowiek o końskim profilu wpadł jak burza, uściśnął im ręce i zapytał:

— Gdzie jest denat?

— W pokoju obok.

— Czy mamy jakiś ślad?

— Właśnie opowiadałem komisarzowi Maigretowi, co wiem. Otóż Aline, młoda osoba, która mieszkała z Palmarim, utrzymuje, że wyszła z budynku około dziewiątej, bez kapelusza, z siatką na zakupy w ręce.

Jeden z pilnujących inspektorów z pewnością ją śledził.

— Udała się do różnych sklepów w dzielnicy. Jeszcze nie spisałem jej zeznania, ponieważ zdołałem od niej wyciągnąć tylko urywane zdania.

— To w czasie jej nieobecności...

— Tak twierdzi, rzecz jasna. Podobno wróciła za pięć dziesiątą. Maigret spojrzał na zegarek, który wskazywał dziesięć po jedenastej.

— Podobno Palmariego znalazła w pokoju obok. Ześliznęła się z wózka inwalidzkiego na dywan. Zmarł na skutek utraty dużej ilości krwi, jak się panowie sami przekonają.

— O której godzinie zadzwoniła do pana? Bo, jak mi powiedziano, to ona dzwoniła do komisariatu?

— Tak. Był kwadrans po dziesiątej.

Zastępca prokuratora, Alain Druet, zadawał pytania, podczas gdy pulchny sędzia jedynie słuchał z nieokreślonym uśmiechem na ustach. On także wydawał się zadowolony z życia pomimo trudności z wykarmieniem swych latorośli. Od czasu do czasu rzucał Maigretowi ukradkowe spojrzenie, tak jakby chciał nawiązać z nim pewnego rodzaju porozumienie.

Dwaj pozostali, zastępca prokuratora i komisarz policji, rozmawiali i zachowywali się jak przystało na skrupulatnych funkcjonariuszy.

— Czy lekarz obejrzał ciało?

— Tylko wszedł i wyszedł. Twierdzi, że przed sekcją zwłok nie da się ustalić, ile kulek dostał Palmari i że bez rozebrania go nie da się też odnaleźć śladów wejścia i wyjścia pocisków. Chociaż kula, która przeszła przez kark, najwyraźniej została wystrzelona od tyłu.

W takim razie, pomyślał Maigret, Palmari niczego się nie obawiał.

— Panowie, może byśmy rozejrzeli się przed nadejściem ekipy dochodzeniowej?

Klitka Manuela nie zmieniła się, słońce zaś wlewało się do niej obficie. Na podłodze leżało wykrzywione, niemal śmieszne ciało z białymi włosami ubrudzonymi krwią na wysokości karku.

Maigret był zaskoczony, widząc Aline Bauche stojącą przy zasłonie jednego z okien. Miała na sobie znaną mu sukienkę z jasnoniebieskiego płótna, czarne włosy okalały jej trupio bladą, poznaczoną czerwonymi plamami twarz; wyglądała tak, jakby została pobita.

Spoglądała z taką nienawiścią czy też wyzwaniem, jakby chciała rzucić się na nich z pazurami.



— No i co, panie Maigret, przypuszczam, że jest pan wreszcie zadowolony? — Spojrzała na pozostałych. — Czy naprawdę nie możecie mnie zostawić samej, jak każdej kobiety, która straciła mężczyznę swojego życia? A może na dodatek zaraz mnie aresztujecie, co?

— Pan ją zna? — zapytał Maigreta sędzia śledczy przyciszonym głosem.

— Dosyć dobrze.

— Sądzi pan, że to ona?

— Chyba panu powiedziano, że ja nigdy nic nie sądzę, panie sędzio. Czekam na ludzi z ekipy dochodzeniowej. Czy pozwoli pan przesłuchać Aline bez świadków?

— Zabiera ją pan?

— Wolę, żeby to się odbyło tutaj. Później zdam panu relację z tego, czego uda mi się dowiedzieć.

— Kiedy ciało zostanie zabrane, być może trzeba będzie opieczetować drzwi do tego pokoju.

— Jeśli pan pozwoli, w razie potrzeby zajmie się tym komisarz policji.

Sędzia nadal obserwował Maigreta ze złościwością w oczach. Czy właśnie tak wyobrażał sobie sławnego komisarza? Czy nie był rozczarowany?

— Zostawiam panu wolną rękę, ale proszę mnie informować na bieżąco.

— Proszę ze mną, Aline.

— Dokąd mnie pan prowadzi? Na Quai des Orfèvres?

— Nie aż tak daleko. Do pani pokoju. A ty, Janvier, idź na dwór po naszych ludzi i zczekajcie na mnie wszyscy trzej w salonie.

Aline twardo patrzyła jak specjaliści wraz ze swym sprzętem opanowują pokój.

— Co oni mu zrobią?

— Rutynowe czynności. Zdjęcia, odciski palców i tak dalej. A propos, czy odnaleziono broń?

Wskazała na stolik na jednej nóżce, stojący obok kanapy, na której leżała całymi dniami, dotrzymując towarzystwa kochankowi.

— To pani ją podniosła?

— Nie dotykałam jej.

— Zna pani ten pistolet?

— O ile wiem, należał do Manuela.

— Gdzie go trzymał?

— W dzień chował go za radiem, w zasięgu ręki, na noc kładł go na stoliku.

Smith & Wesson, kaliber 38, broń zawodowca, która nie daje żadnych szans.

— Proszę ze mną, Aline.

— Po co? Ja nic nie wiem.

Niechętnie weszła do salonu, pchnęła drzwi do bardzo kobiecej sypialni z szerokim, niskim łóżem, jakie widuje się częściej na filmach niż w paryskich wnętrzach.

Zasłony i obicia były z jedwabiu w kolorze jaskra; ogromny, biały, puszysty dywan przykrywał niemal całą podłogę firanki zaś zamieniały światło z zewnątrz w złoty kurz.

— Słucham — rzuciła gniewnie.

— Ja też.

— To może długo trwać.

Opadła na duży fotel wyściełany jedwabiem o barwie kości słoniowej. Maigret nie miał odwagi usiąść na którymś z delikatnych mebli i wahał się, czy zapalić fajkę.

— Aline, jestem przekonany, że go pani nie zabiła.

— Poważnie?

— Niech pani nie będzie zgryźliwa. W zeszłym tygodniu pomogła mi pani.

— Bez wątpienia to nie jest najmądrzejsza rzecz, jaką zrobiłam w życiu. Dowodem na to są pańscy dwaj ludzie stojący ciągle na chodniku po przeciwnej stronie, a do tego ten większy śledził mnie dziś rano.

— Wykonują tylko swój zawód.

— Czy nigdy nie czuje pan do tego wstrętu?

— A gdybyśmy tak przestali bawić się w wojnę? Umówmy się, że ja wykonuję swoją pracę, tak jak pani swoją, i nie ma znaczenia, że każde z nas stoi po innej stronie barykady.

— Nigdy w życiu nie zrobiłam nikomu nic złego.

— Możliwe. Za to Manuelowi właśnie zrobiono krzywdę nie do naprawienia.

Spostrzegł jak do oczu młodej kobiety napływają łzy, które wcale nie wyglądały na udawane. Aline niezdarne wytarła nos, niczym mała dziewczynka, która nie pozwala sobie na płacz.

— Dlaczego musiał...

— Dlaczego musiał co?

— Nic. Sama nie wiem. Musiał umrzeć. Dlaczego ktoś się na niego wziął? Tak jakby nie dość było tego nieszczęścia, że miał o jedną nogę mniej i żył zamknięty w czterech ścianach.

— Miał pani towarzystwo.

— To też sprawiało mu cierpienie, bo był zazdrosny i Bóg jeden wie, czy nie miał racji.

Maigret wziął z toaletki złotą papierośnicę, otworzył ją i podsunął Aline. Machinalnie wyjęła papierosa.

— Wróciła pani z zakupów za pięć dziesiątą?

— Inspektor to potwierdzi.

— Chyba że udało się pani go zmylić, tak jak się to pani czasem zdarza.

— Nie dzisiaj.

— A więc Manuel nie polecił się pani z nikim skontaktować, przekazać żadnej instrukcji, zadzwonić?

Wzruszyła ramionami, machinalnie wydmuchując dym.

— Weszła pani głównymi schodami?

— Dlaczego miałabym wchodzić schodami dla służby? Nie jestem służącą, no nie?

— Najpierw skierowała się pani do kuchni?

— Jak zawsze, kiedy wracam z targu

— Mogę zajrzeć?

— Proszę otworzyć te drzwi. To naprzeciwno, w korytarzu.

Tylko rzucił okiem. Sprzątaczką właśnie parzyła kawę. Na stole leżały jarzyny.

— Zdążyła pani opróżnić siatkę?

— Chyba nie.

— Nie jest pani pewna?

— Są gesty, które wykonuje się machinalnie. Po tym, co się stało, trudno mi sobie przypomnieć.

— Jak panią znam, udała się pani do klitki Manuela, żeby go ucałować.

— Wie pan równie dobrze jak ja, co zastałam.

— Tyle że nie wiem, co pani zrobiła.

— Zdaje mi się, że najpierw krzyknęłam. Instynktownie rzuciłam się do niego. Przysnaję, że potem, na widok całej tej krwi, cofnęłam się jak tchórz. Nawet nie byłam w stanie ostatni raz go pocałować. Biedny tatusiek.

Popłynęły jej łzy, których nawet nie myślała wycierać.

— Podniosła pani pistolet?

— Już panu mówiłam, że nie. Sam pan widzi! Udaje pan, że mi wierzy, ale ledwie znajdziemy się sami, już pan zastawia na mnie ordynarne pułapki.

— Czy nie dotykała go pani, choćby po to, żeby go wytrzeć?

- Niczego nie dotykałam.
- Kiedy przysła sprzątaczkę?
- Nie wiem. Ona wchodzi schodami dla służby i nigdy nam nie przeszkadza, kiedy jesteśmy w tym pokoju.
- Nie słyszała pani jak wchodzi?
- Z kłitki nie da się usłyszeć.
- Czy zdarza jej się spóźniać?
- Często. Ona ma chorego syna, którym musi się opiekować.
- Zadzwoiła pani do komisariatu dopiero kwadrans po dziesiątej. Dlaczego? I dlaczego pani pierwszą myślą nie było wezwanie lekarza?
- Widział go pan, no nie? Czy dużo jest żywych w takim stanie?
- Co pani robiła w ciągu tych dwudziestu minut, które upłynęły od znalezienia ciała do pani telefonu? Dam pani dobrą radę: proszę nie odpowiadać zbyt szybko. Znam panią. Nieraz mnie już pani okłamała, chociaż nie mam tego pani za złe. Nie jestem pewien, czy sędzia śledczy będzie tak samo nastawiony, jak ja. To przecież on zadecyduje o pani wolności!
- Z szyderczym śmiechem ulicznicy zawołała:
- To już byłby szczyt wszystkiego! Niech mnie zaaresztują! I ludzie jeszcze wierzą w sprawiedliwość?! A pan w nią wierzy po tym, co się panu przydarzyło? No niech pan powie, wierzy pan?
- Maigret wolał nie udzielać odpowiedzi na to pytanie.
- Widzi pani, Aline, te dwadzieścia minut może mieć kapitalne znaczenie. Manuel był człowiekiem ostrożnym. Nie sądzę, żeby przechowywał w tym mieszkaniu kompromitujące papiery czy przedmioty, a tym bardziej biżuterię albo większe sumy pieniędzy.
- Do czego pan zmierza?
- Nie domyśla się pani? Kiedy ktoś znajdzie trupa, jego pierwszym odruchem jest wezwanie lekarza bądź policji.
- Przypuszczam, że nie mam takich samych odruchów, jak ogół śmiertelników.
- Nie stała pani przecież nieruchomo nad ciałem przez dwadzieścia minut.
- W każdym razie przez dobrą chwilę.
- Nic nie robiąc?
- Jeżeli tak panu zależy, żeby to wiedzieć, zaczęłam od pomodlenia się. Wiem, że to głupie, zwłaszcza że nie wierzę w tego całego ich Boga. A jednak są chwile, kiedy to przychodzi na człowieka mimo woli. Czy to się na coś zdało, czy też nie, zmówiłam modlitwę za spokój jego duszy.
- A potem?
- Chodziłam.
- Dokąd?
- Od kłitki do tego pokoju i od pokoju do drzwi kłitki. Mówiłam do siebie. Czułam się jak zwierzę w klatce, jak lwica, której odebrano samca i małe. Bo on był dla mnie wszystkim: moim mężczyzną i dzieckiem.
- Mówiła z pasją, przemieliła zajając pokój dużymi krokami, chcąc odtworzyć swoje poranne czyny i gesty.
- To trwało dwadzieścia minut?
- Możliwe.
- Nie przyszło pani do głowy powiadomić sprzątaczkę?
- Nawet o niej nie pomyślałam i przez cały czas nie uświadomiłam sobie jej obecności w kuchni.
- Nie wychodziła pani z mieszkania?
- Żeby dokąd pójść? Proszę spytać pańskich ludzi.
- Dobrze. Przypuśćmy, że powiedziała pani prawdę.

— Nic innego nie robię.

Chyba była dobrą dziewczyną. Może na dnie jej charakteru kryła się dobroć, a jej przywiązanie do Manuela było szczerze? Tylko, jak u tylu innych, własne przeżycia wyzwoliły u niej potrzebę gniewu, agresji.

Jak można wierzyć w dobro, w sprawiedliwość, jak można ufać mężczyznom po takim życiu, jakie wiodła aż do spotkania Palmarięgo?

— Przeprowadzimy mały eksperyment — mruknął Maigret otwierając drzwi. — Moers, czy możesz przynieść parafinę? — zawołał.

Mieszkanie wyglądało teraz jakby pracownicy przedsiębiorstwa przewozowego przygotowywali przeprowadzkę, toteż Janvier, który przyprowadził ze sobą inspektorów Barona i Vacheta, nie wiedział, co mają począć.

— Poczekaj momentik, Janvier. Wejdźcie, Moers. Specjalista pojawił w czym rzecz i przyszykował swoje narzędzia.

— Niech mi pani poda rękę.

— Po co?

— Aby ustalić, że nie posługiwała się pani dziś rano bronią palną — wyjaśnił komisarz.

Wyciągnęła prawą rękę nie mrugnawszy okiem. Następnie na wszelki wypadek powtórzono eksperyment z lewą dłonią.

— Kiedy możecie mi dać odpowiedź, Moers?

— Za jakieś dziesięć minut. Mam wszystko co trzeba na dole, w furgonetce.

— Czy rzeczywiście pan mnie nie podejrzewa i wykonuje tylko rutynowe czynności?

— Jestem prawie pewien, że nie zabiła pani Manuela.

— W takim razie o co mnie pan podejrzewa?

— Wie pani to lepiej ode mnie, moja mała. Mnie się nie spieszy. To przyjdzie z czasem.

Zawołał Janvier i obu inspektorów, którzy nie czuli się najlepiej w tej białej — żółtej sypialni.

— Do roboty, dzieciaki.

Jakby przygotowując się do bitwy, Aline zapaliła papierosa i z pogardliwą miną wydmuchnęła dym.

## II

Wychodząc z domu Maigret z pewnością się nie spodziewał, że ponownie znajdzie się na ulicy Akacyjnej, gdzie tydzień wcześniej spędził tak wiele niespokojnych godzin. Dla niego, podobnie jak dla kilku milionów paryżan, rozpoczynał się po prostu słoneczny dzień. Tym bardziej się nie spodziewał, że około pierwszej po południu będzie siedział przy stole w towarzystwie sędziego Ancelina w bistro o nazwie „U Owernijczyka”.

Owo bistro mieściło się naprzeciwko domu Palmariego. Był to bar w starym stylu, z tradycyjnym bufetem, z aperitifami, których nikt już nie pił z wyjątkiem starych ludzi, z właścicielem w niebieskim fartuchu nałożonym na koszulę z podwiniętymi rękawami, o twarzy przedzielonej pięknym, czarnym wąsem.

U sufitu wisały kiełbasy, kiszki, sery w kształcie tykwy, szynki o poszarzałej skórze, jakby przechowywano je w popiele, na wystawie zaś widniały olbrzymie płaskie bochny chleba, przywiezione prosto z Masywu Centralnego.

Za drzwiami do kuchni uwijała się przy piecu chuda i sucha właścicielka lokalu.

— Panowie na obiad? Stolik na dwie osoby?

Nie było obrusa, lecz cerata i serwetki, na których właściciel zapisywał zamówienia. Na tabliczce można było odczytać zrobiony kredą napis:

*Smażona siekana wieprzowina z Morvan*

*Zraz cielęcy z soczewicą*

*Ser*

*Ciasto domowe*

Pulchny sędzia rozkwitał w tej atmosferze, z lubością wdychając gęsty zapach jedzenia. Na sali było zaledwie dwóch czy trzech milczących klientów, stałych bywalców, do których właściciel zwracał się po imieniu.

To właśnie tutaj od miesiący znajdowała się kwatera główna inspektorów, którzy na zmianę śledzili Manuela Palmariego i Aline; jeden z nich zawsze był gotów podążyć za młodą kobietą, gdy tylko wyszła z domu.

Chwilowo ich zadanie wydawało się zakończone.

— Co pan o tym myśli, Maigret? Pozwoli pan, że tak będę się do niego zwracał, chociaż to nasze pierwsze spotkanie? Spotkanie, którego od dawna pragnąłem, jak to panu niedawno powiedziałem. Czy wie pan, że pan mnie fascynuje?

— Lubi pan zrazy? — mruknął Maigret.

— Lubię wszystkie dania regionalne. Ja też jestem chłopskim synem, a mój młodszy brat prowadzi rodzinne gospodarstwo.

Pół godziny wcześniej, po wyjściu z pokoju Aline. Maigret był zaskoczony widząc sędziego, który czekał nań w pokoiku Palmariego.

Wówczas Moers zdążył już przedstawić komisarzowi swój pierwszy raport. Test parafinowy okazał się negatywny. Inaczej mówiąc, to nie Aline oddała strzały.

— Żadnych odcisków palców na pistolecie, który został starannie wytarty, podobnie jak klamki w drzwiach, w tym także drzwiach wejściowych.

Maigret zmarszczył brwi.

— Chce pan powiedzieć, że na klamce nie było nawet odcisków palców Aline?

— Zgadza się.

Wtedy wtrąciła się ona sama:

— Zawsze przed wyjściem wkładam rękawiczki, nawet latem, ponieważ nie znoszę mieć wilgotnych dłoni.

— Jakie rękawiczki miała pani na sobie, robiąc zakupy?

— Białe bawełniane. Proszę! Oto one.

Wyjęła je z podręcznej miękkiej torebki. Zielone smugi świadczyły o tym, że dotykała warzyw.

— Baron! — zawołał Maigret.

— Tak, szefie.

— To wy śledziliście Aline dzisiaj rano?

— Tak. Wyszła trochę przed dziewiątą niosąc, poza torebką, którą widzę na stole, czerwoną siatkę na zakupy.

— Czy miała rękawiczki?

— Białe, jak zwykle.

— Nie spuszczałaście jej z oka?

— Nie wchodziłem do sklepów, ale ani na chwilę mi nie umknęła.

— Żadnych telefonów?

— Nie. Czekala dość długo w kolejce u rzeźnika, ale nie rozmawiała ze stojącymi razem z nią kobietami.

— Zanotowaliście godzinę jej powrotu?

— Z dokładnością co do minuty. Za sześć dziesiąta.

— Czy wyglądało, jakby się spieszyła?

— Przeciwnie, sprawiała raczej wrażenie, jakby spacerowała z uśmiechem, jak ktoś, kto cieszy się pięknym dniem. Już było gorąco i zauważyłem ślady potu pod pachami.

Maigret również się poccił i czuł, że nawet pod lekką marynarką ma mokrą koszulę.

— Przyślijcie no mi Vachera. Dobra. Powiedzcie mi, Vacher, podczas gdy wasz kolega śledził Aime, pełniliście wartę przed budynkiem, prawda? Gdzie wtedy staliście?

— Przed domem dentysty, dokładnie naprzeciwko, z wyjątkiem pięciu minut, kiedy to poszedłem napić się białego wina do Owernijczyka. Z kontuaru bardzo dobrze widać wejście do budynku.

— Wiecie, kto tam wchodził i wychodził?

— Najpierw widziałem dozorczynię, która trzepała wycieraczkę na progu. Poznała mnie i burknęła coś, bo nie lubi naszej ekipy i uważa nasze patrołowanie za osobistą zniewagę.

— Co dalej?

— Około dziewiątej wyszła młoda dziewczyna ze szkicownikiem pod pachą. To panna Lavancher, rodzina z pierwszego piętra po prawej stronie. Jej ojciec jest kontrolerem w metrze. Codziennie rano udaje się do Akademii Sztuk Pięknych przy bulwarze Batignolles.

— A potem? Nikt nie wchodził?

— Posłaniec od rzeźnika dostarczył mięso, nie wiem komu. Znam go, bo zawsze go widuję u rzeźnika Mauduit, trochę w górę ulicy.

— Kto jeszcze?

— Włoszka z trzeciego piętra trzepała chodniki przez okno. Potem, parę minut przed dziesiątą, wróciła Aline z zakupami i dołączył do mnie Baron. Później zaskoczył nas widok komisarza policji, następnie sędziego śledczego i wreszcie pana. Nie wiedzieliśmy, co robić. Pomyśleliśmy, że skoro nie ma żadnych instrukcji, najlepiej poczekać na ulicy.

— Wczesnym popołudniem chciałbym dostać kompletną listę lokatorów tego budynku, według pięter, wraz ze składem członków rodziny, zawodami, zwyczajami i tak dalej. Zabierzcie się do tego obaj.

— Mamy ich przesłuchać?

— Sam to zrobię.

Ciało Manuela zostało zabrane, lekarz sądowy zapewne dokonywał właśnie sekcji zwłok.

— Poproszę panią, Aline, o nieopuszczanie mieszkania. Inspektor Janvier zostanie tutaj. Wasi ludzie już poszli, Moers?



— Skończyli swoją robotę na miejscu. Za jakieś trzy godziny będzie pan miał zdjęcia i powiększenie odcisków palców.

— A więc są mimo wszystko jakieś odciski palców?

— Wszędzie po trochu, jak zwykle, na przykład na popielniczkach, na radiu, telewizorze, płytach, na całym mnóstwie przedmiotów, których morderca najprawdopodobniej nie dotykał, więc nie uważał za konieczne ich wycierać.

Maigret zmarszczył brwi i wówczas spostrzegł, że sędzia Ancelin namiętnie śledził zmiany w wyrazie jego twarzy.

— Chcecie, żebym wam przysłał kanapki, dzieciaki?

— Nie, pójdziemy później na obiad. Na klatce schodowej sędzia zapytał:

— Wraca pan na obiad do siebie?

— Niestety nie, chociaż czeka na mnie homar.

— Czy mogę się ośmielić i zaprosić pana?

— Nie zna pan dzielnicy tak jak ja. To ja pana zapraszam, jeżeli nie boi się pan jeść potraw z Owernii w bistro.

Siedzieli zatem przy papierowym obrusie, komisarz zaś wyjmował z kieszeni chustkę, by otrzeć sobie twarz.

— Przypuszczam, Maigret, że uważa pan test parafinowy za decydujący? Przystudiowałem kiedyś naukowe metody śledztwa, ale przyznaję, że niewiele z tego zapamiętałem.

— Jeżeli tylko morderca nie ochronił się gumowymi rękawiczkami, na jego dłoniach na pewno są mikroskopijne ślady prochu, które pozostaną tam przez dwa lub trzy dni i które test parafinowy z pewnością wykaże.

— Nie sądzi pan, że ta Aline, do której sprzątaczką przychodzi tylko na parę godzin dziennie, nosi gumowe rękawiczki, chociażby do mycia naczyń?

— To prawdopodobne. Wkrótce się o tym przekonamy. Zaczynał spoglądać na małego sędziego z ciekawością.

— Ta smażona siekana wieprzowina jest wyborna. Przypomina mi tę, którąśmy przyrządzali na farmie, kiedy zabijało się wieprza. Sądzę, Maigret, że ma pan zwyczaj sam prowadzić dogodzenie, to znaczy sam razem ze swoimi współpracownikami, i czekać na bardziej lub mniej konkretne wyniki, żeby przekazać raport prokuraturze i sędziemu śledczemu?

— To już nie jest możliwe. Podejrzani już przy pierwszym przesłuchaniu mają prawo do obecności adwokata, a ci, którym niezbyt odpowiada atmosfera Komendy Głównej Policji, czują się swobodniej przed urzędnikiem sądowym.

— Jeżeli zostałem dzisiaj rano i zapragnąłem zjeść z panem obiad, to nie po to, by kontrolować pańskie posunięcia, proszę mi wierzyć, a jeszcze mniej, by pana krępować. Jak już powiedziałem, ciekawią mnie pańskie metody, a oglądanie pana w akcji będzie dla mnie wspaniałą lekcją.

Maigret odpowiedział na ten komplement zaledwie niewyraźnym gestem.

— Czy to prawda, że mają państwo sześcioro dzieci? — zapytał z kolei.

— Będziemy mieć siedmioro za trzy miesiące.

W oczach sędziego była wesołość, jakby w ten sposób splątał niezłego figla społeczeństwu.

— Wie pan, to bardzo pouczające. Już od najmłodszych lat dzieci mają zalety i wady dorosłych, dlatego też człowiek uczy się poznawać ludzi po prostu patrząc na nie.

— Pańska żona...

Miał powiedzieć: „Pańska żona jest tego samego zdania?” — sędzia jednak ciągnął dalej:

— Marzeniem mojej żony byłoby zostać króliczą mamą w norce. Nigdy nie jest tak wesoła i tak beztraska jak wtedy, kiedy jest w ciąży. Staje się ogromna, przybywa jej do trzydziestu kilo, które nosi z radością.

Sędzia śledczy — wesołek, optymista, rozkoszujący się zrazem cielecym z soczewicą w owerniackim bistro, tak jakby chodził tu od zawsze.

— Znał pan dobrze Manuela, prawda?

— Od ponad dwudziestu lat.

— To był twardziel?

— I twardziel, i mięczak, trudno powiedzieć. Kiedy przyjechał do Paryża, powłóczywszy się przedtem po Marsylii i po Lazurowym Wybrzeżu, była to chciwa bestia. Większość jemu podobnych prędzej czy później zaznajamia się z policją, sądem poprawczym, ławą przysięgłych, więzieniem. Palmari, chociaż żył w półświatku, urządził się tak, by nie zwracać na siebie uwagi, a kiedy odkupił lokal „Pod Żłotym Gwoździem”, który wówczas był tylko bistro, nie ociążał się zbyt z podsuwaniem nam informacji o swojej klienteli.

— Był jednym z pańskich informatorów?

— Tak i nie. Zachował pewne granice; mówił tylko tyle, żeby pozostawać z nami w dobrych stosunkach. Tak więc zawsze utrzymywał, że nie widział dwu mężczyzn, którzy strzelali do niego, kiedy opuszczał żaluzje. W kilka miesięcy później, niby przypadkiem, na Południu zabito dwu morderców z Marsylii.

— Rozumieli się dobrze z Aline?

— Widział wszystko poprzez nią. Proszę nie dać się zwieść, panie sędzio; ta dziewczyna, mimo swojego pochodzenia i swoich początków, nie jest byle kim. Dużo inteligentniejsza niż Palmari i gdyby ją dobrze pokierować, mogłaby sobie na przykład wyrobić nazwisko w teatrze czy w filmie.

— Sądzi pan, że go kochała pomimo różnicy wieku?

— Doświadczenie mnie nauczyło, że dla kobiet, przynajmniej niektórych, wiek nie ma znaczenia.

— Nie podejrzewa jej pan więc o morderstwo dzisiejszego ranka?

— Nie podejrzewam nikogo i podejrzewam wszystkich.

Pozostał już zaledwie jeden klient przy stoliku, dwóch innych przy barze — robotnicy pracujący w tej dzielnicy. Zrazy cielecące były smaczne, Maigret zaś nie przypominał sobie, by kiedykolwiek jadł równie rozplywającą się w ustach soczewicę, obiecał sobie, że wróci tu któregoś dnia z żoną.

— O ile znam Palmarię, dziś rano pistolet był na swoim miejscu, za radiem. Jeżeli to nie Aline zabiła, mordercą jest ktoś, do kogo Manuel miał całkowite zaufanie, kto prawdopodobnie miał klucz od mieszkania. Tymczasem dom jest pod obserwacją. Palmari nie przyjął żadnego gościa. Należało przejść przez salon, do którego drzwi są zawsze otwarte, wejść do klitki, okrążyć fotel na kółkach, by chwycić bron. Jeśli byłby to złodziej, to znalazłby test parafinowy. Z kolei nie wyobrażam sobie Palmarię przyjmującego gościa w gumowych rękawiczkach. Wreszcie, moi inspektorzy nie widzieli, by wchodził ktoś podejrzany. Dozorczyńni też nie zauważyła nikogo. Poślaniec od rzeźnika, który dostarcza towar codziennie o tej samej porze, jest poza podejrzeniem.

— Czy ktoś mógł wejść do budynku wczoraj wieczorem albo dzisiaj w nocy i ukryć się na schodach?

— Jest to jedna z rzeczy, które spodziewam się sprawdzić dziś po południu.

— Przed chwilą twierdził pan, że nie ma żadnego pomysłu. Czy miałby pan do mnie żal, gdybym podejrzewał pana o tak zwaną ukrytą myśl?

— Zgadza się. Tyle tylko, że może mnie ona zaprowadzić donikąd. Budynek ma pięć pięter, nie licząc parteru i poddaszy. Na każdym piętrze znajdują się dwa mieszkania. Oznacza to sporą liczbę lokatorów. Przez całe miesiące nagrywaliśmy rozmowy telefoniczne Palmarię, zresztą wszystkie zupełnie niewinne. Nigdy nie chciałem wierzyć, że ten człowiek całkowicie się odciął od świata. Kazałem śledzić Aline za każdym razem, kiedy wychodziła. Wiem, że zdarzało jej się telefonować z zaplecza pewnego sklepu. Udawało jej

się też niekiedy umknąć spod naszej kontroli na kilka godzin: albo stosując klasyczny chwyt z budynkiem o dwóch wyjściach, albo z dużego sklepu czy metra. Mam zapisane daty tych telefonów i tych ucieczek. Porównałem je z datami kradzieży w sklepach jubilerskich.

— Pokrywają się?

— Tak i nie. Często telefony wyprzedzały o pięć lub sześć dni kradzież biżuterii. Natomiast urywała się opiekunom niekiedy kilka godzin po kradzieżach. Proszę samemu stąd wyciągnąć wnioski, nie pomijając faktu, że prawie wszystkie te włamania zostały dokonane przez młodzików nie figurujących w kartotece policyjnej, przybyłych jakby celowo z Południa albo z prowincji. Weźmie pan jeszcze ciasta?

Było to ciasto ze śliwkami, soczyste, pachnące cynamonem.

— Jeżeli pan też weźmie.

Zakończyli posiłek wódką jabłkową bez nalepki, która miała co najmniej sześćdziesiąt pięć procent i która rozpałała im policzki.

— Zaczynam zdawać sobie sprawę... — Sędzia westchnął, tym razem także ocierając sobie twarz. — Szkoda, że praca zatrzymuje mnie w Pałacu Sprawiedliwości i że nie mogę śledzić pańskiego dochodzenia krok po kroku. Czy wie pan już, jak się do tego zabrać?

— Nie mam najmniejszego pojęcia. Gdybym miał plan, musiałbym go zmienić za kilka godzin. Zaraz zajmę się lokatorami budynku. Będę chodził od drzwi do drzwi, jak sprzedawca odkurzaczy. Następnie zobaczę się z naszą Aline, która nie powiedziała wszystkiego i będzie miała czas do namysłu. To wcale nie oznacza że będzie bardziej rozmowna niż dziś rano.

Wstali od stolika po krótkiej dyskusji na temat rachunku.

— To ja się wprosiłem — protestował sędzia.

— Jestem tu trochę u siebie — oznajmił Maigret. — Następnym razem, gdzie indziej, pan zapłaci.

Właściciel zawołał do nich zza kontuaru:

— Smakowało panom?

— Bardzo.

Tak bardzo, że czuli się obaj nieco ociężali, zwłaszcza znalazłszy się w pełnym słońcu.

— Dziękuję za obiad, Maigret. Proszę mnie nie zostawiać zbyt długo bez wiadomości.

— Obiecuję.

I podczas gdy czerwony na twarzy sędzia wciskał się za kierownicę swego zniszczonego samochodu, komisarz po raz kolejny wchodził do budynku, który wydawał mu się coraz bardziej znajomy.

Zjadł dobry obiad. W ustach zachował smak wódki z jabłek. Upał, choć skłaniał do drzemki, był przyjemny, słońce zaś pełne wesołości.

Manuel także lubił dobre jedzenie, wódkę z jabłek i tę półsenność, charakterystyczną dla pięknych letnich dni.

Teraz znajdował się pod szorstkim prześcieradłem w jednej z metalowych szuflad instytutu medycyny sądowej.

\* \* \*

Baron chodził w tę i z powrotem po salonie, pogwizdując. Zdjął marynarkę, otworzył okno, Maigret zaś domyślał się, że spieszno mu było coś zjeść, chociaż najpierw wypiłby z pewnością duży kufel piwa.

— Możesz iść. Położysz raport na moim biurku.

Komisarz spostrzegł Janvier, również w samej koszuli, siedzącego w klitce, gdzie opuścił story. Na widok Maigreta wstał, odłożył na półkę popularną powieść, której czytaniem się zajmował, i chwycił za marynarkę.

— Sprzątaczką już poszła?

— Najpierw ją przesłuchałem. Nie jest rozmowna. To nowa, zatrudniona na początku tygodnia. Podobno stara wróciła na prowincję, zdaje mi się, że do Bretanii, opiekować się chorą matką.

— O której dzisiaj przyszła?

— Z tego, co mówi, o dziesiątej.

W Paryżu, podobnie jak gdzie indziej, istnieje wiele typów sprzątaczek. Ta, nazywana panią Martin, należała do najbardziej nieprzyjemnej kategorii, kategorii kobiet, które przeżyły różne nieszczęścia i które nadal przyciągają katastrofy, a w dodatku mają o to żal do całego świata.

Miała na sobie czarną sukienkę, która straciła wszelki fason, sfatygowane buty, i spoglądała na ludzi spode łba, dzikim wzrokiem, jakby ciągle spodziewała się ataku.

— Ja nic nie wiem — oznajmiła Janvierowi, zanim zdążył otworzyć usta. — Nie ma pan prawa mi się naprzykrzać. Pracuję w tym domu dopiero od czterech dni.

Można się było domyślać, że ma zwyczaj pomstować przez zęby podczas codziennej pracy.

— Wychodzę i nikt nie może mi w tym przeszkodzić. Moja noga nigdy więcej tu nie postanie. Słusznie podejrzewałam, że oni nie są po ślubie i że któregoś dnia będzie z tego tragedia.

— Co każe pani przypuszczać, że śmierć pana Palmariego ma jakiś związek z faktem, że nie był żonaty?

— Zawsze tak jest, no nie?

— Którymi schodami pani weszła?

— Schodami dla służby — odparła cierpko. — Swego czasu, kiedy byłam młoda, każdy byłby szczęśliwy prowadząc mnie po głównych schodach.

— Czy widziała pani pannę Bauche?

— Nie.

— Czy weszła pani od razu do kuchni?

— Zawsze od niej zaczynam.

— Na ile godzin dziennie pani przychodzi?

— Na dwie, od dziesiątej do dwunastej. W poniedziałki i soboty na cały ranek, ale dzięki Bogu nie będę już miała okazji przyjść w sobotę.

— Co pani słyszała?

— Nic.

— Gdzie była pani pracodawczyni?

— Nie wiem.

— Nie musiała pani pytać o polecenia?

— Jestem wystarczająco dorosła, żeby wiedzieć, co mam robić, skoro mi się to raz powiedziało!

— A co pani miała zrobić?

— Położyć na miejsce zakupy, które ona dopiero co zrobiła i które leżały na stole. Potem oczyścić warzywa. Następnie odkurzyć w salonie.

— Zdążyła pani?

— Nie.

— Co było do roboty po odkurzeniu salonu w inne dni?

— Sypialnia i łazienka.

— A klitka nie?

— Gabinet pana? Pani sama się tym zajmowała.

— Nie słyszała pani strzału?

— Nic nie słyszałam.

— Nie słyszała pani również, jak pani pracodawczyni rozmawia przez telefon?

— Drzwi były zamknięte.  
— O której godzinie widziała się pani dziś rano z panną Bauche?  
— Dokładnie nie wiem. Dziesięć minut albo kwadrans po moim przyjściu.  
— Jak się zachowywała?  
— Płakała wcześniej.  
— Przy pani już nie płakała?  
— Nie. Powiedziała mi: „Nie zostawiaj mnie samej. Boję się, że zemdleję. Zabili tatuśka”.  
— Co dalej?  
— Skierowała się do sypialni a ja poszłam za nią. Dopiero jak się rzuciła na łóżko, zaczęła znowu płakać. Potem powiedziała: „Kiedy ktoś zadzwoni do drzwi, pójdziesz otworzyć. Wezwałam policję”.  
— Nie była pani ciekawa szczegółów?  
— Cudze sprawy mnie nie obchodzą. Im mniej człowiek wie, tym lepiej.  
— Nie poszła pani też rzucić okiem na pana Palmariego?  
— Po co?  
— Co pani o nim sądziła?  
— Nic.  
— A o pani pracodawczyni?  
— Też nic.  
— Jest pani tutaj od poniedziałku. Czy widziała pani już jakiegoś gościa?  
— Nie.  
— Nikt nie chciał mówić z panem Palmarim?  
— Nie. Czy to wszystko? Mogę odejść?  
— Pod warunkiem, że zostawi mi pani swój adres.  
— To niedaleko. Mieszkam na poddaszu w najbardziej zniszczonym domu przy ulicy Gwiazdy, pod 27 bis. Zastanie mnie pan tylko wieczorem, ponieważ cały dzień sprzątam. I niech pan sobie dobrze zapamięta, że nie lubię policji.  
Janvier skończył czytać komisarzowi zeznanie, które zaste nogrofaował.  
— Moers dawno wyszedł?  
— Jakies trzy kwadransy temu. Przeszukał wszystko w tym pokoju, przejrzał po kolei każdą książkę, każdą okładkę na płytę. Prosił, bym panu powiedział, że nic nie znalazł. Żadnej skrytki w ścianie ani podwójnej szuflady w meblach. Na wszelki wypadek przejechał odkurzaczem i oddał kurz do analizy.  
— Idź na obiad. Polecam ci zrazy cielęce u Owernijczyka, jeśli w ogóle cię obsłużą o tej porze. Potem przyjdź po mnie. Przykazałeś komisarzowi policji, żeby nic nie mówił prasie?  
— Tak. Do zobaczenia. A propos, sędzia nie zanudził pana?  
— Wręcz przeciwnie. Zaczynam lubić tego człowieka.  
Gdy tylko został sam, Maigret zdjął marynarkę, powoli nabił fajkę i począł rozglądać się wokoło, jakby obejmował to miejsce w posiadanie.  
Fotel na kółkach, po raz pierwszy pusty, nagle wywarł na nim głębokie wrażenie, zwłaszcza że na skórze siedzenia i oparcia zachował się odcisk ciała oraz dziura wyżłobiona przez jeden z pocisków.  
Pogrzebał nieco wśród książek, płyt, przekręcił na chwilę gałkę radia, które zachwalało pokarm dla niemowląt.  
Podniósł story przy oknach, z których jedno wychodziło na ulicę Akacjową, a drugie na ulicę Łuku Triumfalnego.  
Od trzech lat Palmari przebywał w tym pokoju od rana do wieczora, opuszczając go jedynie po to, by położyć się do łóżka, gdy Aline rozebrała go jak dziecko.



Jeśli wierzyć temu, o czym zapewniał dziesięć dni wcześniej, a co potwierdzili inspektorzy, nie przyjmował żadnych wizyt, zaś jego towarzyszką życia była, poza radiem i telewizją, jedynym łącznikiem ze światem zewnętrznym.

Maigret przeszedł wreszcie przez salon i zapukał do drzwi sypialni. Nie uzyskawszy odpowiedzi, otworzył i zastał Aline leżącą na wznak, z oczyma wbitymi w sufit.

— Mam nadzieję, że pani nie obudziłem?

— Nie spałam.

— Jadła pani coś?

— Nie jestem głodna.

— Sprzątaczką oznajmiła, że już więcej nic przyjdzie.

— Co mnie to może obchodzić? Gdyby pan też mógł już więcej nie przychodzić.

— Co by pani zrobiła?

— Nic. Czy gdyby z kolei pana ktoś zabił, to pańska żona byłaby zadowolona, że nachodzi się ją w mieszkaniu i zadaje jedno pytanie po drugim?

— Niestety, to konieczne.

— Nie widziałam nic bardziej okrutnego.

— A ja tak: morderstwo.

— I podejrzewa pan, że ja to zrobiłam? Pomimo testu, który pański specjalista wykonał dziś rano?

— Przypuszczam, że pani gotuje?

— Jak wszystkie kobiety, które nie mają gosposi.

— Wkłada pani gumowe rękawiczki?

— Nie do gotowania, ale do obierania warzyw i do zmywania naczyń.

— Gdzie one są?

— W kuchni.

— Zechce mi je pani pokazać?

Wstała niechętnie, z oczyma pociemniałymi od urazy.

— Proszę za mną.

Musiała otworzyć dwie szuflady, nim je znalazła.

— Proszę bardzo! Może pan je przesłać swoim artystom. Nie miałam ich dzisiaj rano.

Maigret bez słowa schował je do kieszeni.

— Wbrew temu, co pani myśli, Aline, mam dla pani dużo sympatii, a nawet pewien rodzaj podziwu.

— Powinnam się czuć wzruszona?

— Nie. Chciałbym, aby poszła pani ze mną pogadać przez chwilę w pokoiku Manuela.

— A jak nie...?

— Co pani przez to rozumie?

— Jeśli odmówię? Przypuszczam, że zabierze mnie pan do biura przy Quai des Orfèvres?

— Wolałbym, żeby to się odbyło tutaj.

Wzruszyła ramionami, poszła przodem, opadła na wąską kanapę.

— Wyobraża pan sobie, że się zmieszam, patrząc drugi raz na miejsce zbrodni.

— Nie. Byłoby lepiej, gdyby przestała pani być taka spięta, nie przyjmowała ciągle pozycji obronnej i nie ukrywała przede mną tego, co i tak będzie pani zmuszona wyjawić mi pewnego dnia.

Zapaliła papierosa spoglądając na Maigreta obojętnie. Wskazując na fotel na kółkach, komisarz mruknął:

— Pragnie pani, żeby ten, kto to zrobił, został ukarany, prawda?

— Wcale nie liczę na policję.

— Woli pani zająć się tym sama? Ile pani ma lat, Aline?

— Przecież pan wie. Dwadzieścia pięć.



— Więc ma pani przed sobą całe życie. Czy Manuel zostawił testament?

— Nigdy się o to nie martwiłam,

— Czy miał notariusza?

— Nie mówił mi o tym.

— Gdzie trzymał pieniądze?

— Jakie pieniądze?

— Na początek te, które przynosił mu lokal „Pod Złotym Gwoździem”. Wiem, że to pani otrzymywała od kierownika co tydzień należną Manuelowi sumę. Chciałbym wiedzieć co pani z nią robiła?

Przybrała minę szachisty, który rozważa wszelkie możliwe konsekwencje swego następnego posunięcia.

— Oddawałam pieniądze do banku, zostawiając tylko tyle, ile potrzebowałam na dom.

— Do jakiego banku?

— Do filii Credit Lyonnais, przy alei Grande-Armée.

— Czy konto jest na pani nazwisko? — Tak.

— Nie ma innego konta na nazwisko Palmariego?

— Nic o tym nie wiem.

— Niech pani posłucha, Aline, jest pani inteligentną dziewczyną. Dotychczas prowadziła pani z Manuelem pewien rodzaj życia, bardziej lub mniej na marginesie społeczeństwa. Palmari był szefem gangu, twardzielem, który przez całe lata potrafił wzbudzać szacunek.

Z ironią wskazała fotel na kółkach, następnie źle wytartą plamę krwi na dywanie.

— Jeżeli mężczyzna taki jak on, znający wszystkie sztuczki, pozwolił się dopaść, to co pani powie o młodej kobiecie, będącej odtąd bez opieki? Chce pani znać moje zdanie? Widzę tylko dwie hipotezy. Albo ci, którzy podnieśli na niego rękę, wkrótce wezmą się za panią i nie chybią, tak jak nie chybili w jego przypadku. Albo też zostawią panią w spokoju, co dla mnie będzie znaczyło, że jest pani z nimi w zмовie. Za dużo pani wie, a w tym środowisku uważa się, że tylko martwi potrafią zachować milczenie.

— Próbuje mnie pan przestraszyć?

— Próbuję przywołać panią do rozsądku. Już zbyt długo prowadzimy między sobą zręczne gierki.

— Co, zgodnie z pańską teorią, miałyby dowieść, że potrafię milczeć?

— Strasznie tu gorąco. Czy nie będzie pani przeszkadzało, jak otworzę okno?

Otworzył to, przez które nie wpadało słońce, jednak powietrze na zewnątrz wcale nie było chłodniejsze niż w pokoju, toteż Maigret nadal się pocił. Nie zdecydował się usiąść.

— Od trzech lat mieszkała tu pani z Manuelem, który, jak oboje twierdziliście, nie miał żadnego kontaktu ze światem zewnętrznym, a tak naprawdę utrzymywał te kontakty za pani pośrednictwem. Oficjalnie wystarczało pani pójście raz, rzadko dwa razy w tygodniu do „Złotego Gwoźdza”, żeby sprawdzić stan rachunków, odebrać część należną Palmariemu i wpłacić pieniądze do banku, na konto otwarte na pani nazwisko. Często odczuwała pani potrzebę wymknięcia się spod kontroli moich inspektorów, albo żeby wykonać jakiś tajemniczy telefon, albo też zapewnić sobie kilka godzin swobody.

— Mogłabym mieć na przykład kochanka?

— Nie krępuje się pani trochę mówić dzisiaj w ten sposób?

— Chcę panu po prostu pokazać, że jest wiele hipotez.

— Nie, moja mała.

— Nie jestem żadną pańską małą.

— Wiem! Już mi pani to mówiła wiele razy. To nie zmienia faktu, że w niektórych chwilach zachowuje się pani jak dziecko i człowiek ma ochotę panią spoliczkować. Dopiero co mówiłem o pani inteligencji. Ale wygląda na to, że nie zdaje pani sobie sprawy, w jakim gnieździe żmij się znajduje. Można się zgodzić, że przyjęła pani tę postawę, kiedy Palmari był

tutaj, aby pani doradzać i bronić. Ale teraz jest pani sama, czy to jasne? Czy w domu jest jeszcze inna broń niż ta, która właśnie teraz znajduje się u ekspertów?

— Noże kuchenne.

— Niech no tylko sobie pójdę, niech przestanę panią śledzić...

— Dokładnie tego pragnę.

Wzruszył ramionami, zniechęcony. Nic jej nie poruszało, pomimo widocznego przygnębienia i pewnego niepokoju, którego nie udało jej się całkiem ukryć.

— Zaczniemy rozmowę z innej strony. Palmari miał sześćdziesiąt lat. Od jakichś piętnastu był właścicielem „Złotego Gwoździa”, który prowadził osobiście dopóki nie przeszkodziło mu w tym kalectwo. Dzięki samej tylko restauracji zarobił dużo pieniędzy, a przecież miał też inne źródła dochodów. Otóż poza kupnem tego mieszkania, mebli i bieżącymi wydatkami nie wydawał większych sum. Gdzie jest zgromadzony w ten sposób majątek?

— Już za późno, żeby go spytać.

— Zna pani jego rodzinę?

— Nie.

— Nie sądzi pani, że kochając panią, tak jak kochał, postarał się, by te pieniądze przypadły pani?

— To pan tak twierdzi.

— Na ogół ludzie jego pokroju wzdragają się przed powierzaniem swoich pieniędzy bankowi, ponieważ zbyt łatwo można wykryć daty wpłat.

— Nadal pana słucham.

— Manuel nie pracował sam.

— „Pod Złotym Gwoździem”?

— Przecież pani wie, że nie o tym mówię, ale o klejnotach.

— Co najmniej dwadzieścia razy był pan tu, żeby z nim o tym rozmawiać. Czy wyciągnął pan coś z niego? Dlaczego pan przypuszcza, że po śmierci tatuśka uda się panu ze mną?

— Ponieważ pani jest w niebezpieczeństwie.

— A co to pana obchodzi?

— Przykro by mi było rozpocząć dla pani tę drobną ceremonię z dzisiejszego poranka.

Maigretowi wydało się, że zaczęła się zastanawiać, lecz gasząc papierosa w popielniczce westchnęła tylko i rzuciła:

— Nie mam nic do powiedzenia.

— W takim razie proszę mi wybaczyć, ale zostawię jednego z moich ludzi, żeby siedział w tym mieszkaniu dzień i noc. Drugi nadal będzie za panią chodził, gdy tylko pani wyjdzie. No i na koniec oficjalnie panią proszę o niewyjeżdżanie z Paryża aż do końca dochodzenia.

— Rozumiem. Więc gdzie będzie spał pański inspektor?

— Nie będzie spał. Jeśli kiedykolwiek będzie mi pani miała coś do powiedzenia, proszę dzwonić do biura lub do domu. Tu jest mój numer.

Nie wzięła podanej wizytówki, którą w końcu położył na nocnym stoliku.

— Teraz, kiedy nasza rozmowa jest zakończona, przekazuję pani moje bardzo szczere kondolencje. Palmari wybrał życie na marginesie, ale nie ukrywam, że czułem dla niego pewien podziw. Do widzenia, Aline. Ktoś dzwoni do drzwi i to na pewno Janvier wraca z obiadu. Zostanie tutaj aż przyślę innego inspektora, żeby go zmienił.

Zamierzał podać jej rękę, lecz wyczuł, że jest zmieszana. Wiedząc, że nie odpowie na jego gest, włożył marynarkę i ruszył do drzwi, by otworzyć Janvierowi.

— Coś nowego, szefie? Pokręcił przecząco głową.

— Zostań tu tak długo, aż cię ktoś zmieni. Pilnuj jej i uważaj na schody dla służby.

— Wraca pan do komendy?

Maigret wykonał nieokreślony gest, po czym westchnął:

— Nie wiem.

W kilka minut później popijał duże piwo w piwiarni przy alei Wagram. Wolałby atmosferę „U Owernijczyka”, lecz w bistro nie było kabiny telefonicznej. Aparat wisiał obok kontuaru, więc klienci słyszeli rozmowy.

— Kelner, jeszcze jeden kufel i kilka żetonów na telefon. Niech będzie pięć.

Jakaś prostytutka przy kości, z twarzą wypacykowaną różnymi kolorami, uśmiechała się doń naiwnie, nie podejrzewając nawet, kim jest. Żał mu się jej zrobiło i by oszczędzić jej czasu, gestem dał do zrozumienia, że nie reflektuje.

### III

Spoglądając z roztargnieniem przez szyby kabiny na siedzących wokół stolików gości, Maigret zadzwonił najpierw do sędziego Ancelina, by poprosić go o przełożenie terminu zaplombowania lokalu przy ulicy Akacyjowej.

— Zostawiłem w mieszkaniu jednego z moich inspektorów i zaraz wyślę drugiego, żeby tam spędził noc,

— Czy przesłuchał pan ponownie tę młodą kobietę?

— Właśnie wyszedłem po długiej z nią rozmowie: bez najmniejszego rezultatu,

— Gdzie pan teraz jest?

— W piwiarni przy alei Wagram. Muszę jeszcze zadzwonić w parę miejsc.

Wydało mu się, że usłyszał westchnienie. Czy mały, pulchny sędzia nie zazdrościł mu pograżenia w miejskim wirze, podczas gdy on sam, siedząc w zakurzonym biurze, biedził się nad abstrakcyjnymi aktami pełnymi monotonicznych formułek? Będąc w gimnazjum, młody Maigret z tęsknotą spoglądał przez okno klasy na mężczyzn i kobiety, którzy chodzili w tę i z powrotem po chodnikach, podczas gdy on tkwił w zamknięciu.

Piwiarnia była prawie pełna i po tylu latach nadal nie mógł się nadziwić, widząc tak wielu ludzi wchodzących i wychodzących w godzinach, gdy inni ślęczeli w biurach, warsztatach czy fabrykach.

Zaraz po przybyciu do Paryża mógł spędzać całe popołudnia na tarasie Grands Boulevards bądź przy bulwarze Saint-Michel, śledząc wzrokiem ruchliwy tłum, obserwując twarze, usiłując odgadnąć troski każdego przechodnia.

— Dziękuję, panie sędzio. Jak tylko będzie coś nowego, zaraz dam panu znać.

Następnie przyszła kolej na lekarza sądowego, którego uchwycił w jego gabinecie. Nie był to już doktor Paul, lecz jego młody następca, mniej malowniczy, ale wypełniający swe obowiązki z równą sumiennością.

— Jak pan wie, pańscy ludzie znaleźli kulę w oparciu fotela na kółkach. Została wystrzelona od przodu, podczas gdy ofiara już nie żyła.

— Mniej więcej z jakiej odległości?

— Mniejszej niż metr, a większej niż pięćdziesiąt centymetrów. Nie mogę określić dokładniej, nie wkraczając w dziedzinę hipotez. Pocisk, który zabił Palmarięgo, został wystrzelony od tyłu, w kark, całkiem z bliska, lekko z dołu ku górze, i umiejscowił się w czaszce.

— Wszystkie trzy kule są jednego kalibru?

— Z tego co sam mogę stwierdzić, tak. Są właśnie w rękach eksperta od balistyki. Dostanie pan mój oficjalny raport jutro rano.

— Ostatnie pytanie: godzina.

— Między wpół do dziesiątej a dziesiątą. Kolej na Gastinne-Rennette'a.

— Czy zdążył pan zbadać broń, którą panu przesłałem i trzy naboje?

— Pozostaje mi jeszcze dokładne sprawdzenie, ale już teraz jest prawie pewne, że wszystkie trzy pociski zostały wystrzelone z pistoletu Smith & Wesson.

— Dziękuję panu.

W piwiarni jakiś nieśmiały młody człowiek kręcił się w kółko, aż wreszcie usiadł obok prostytutki o szerokich biodrach i zbyt mocno umalowanej twarzy. Nie śmiać na nią spojrzeć, zamówił kufel piwa, zaś stukające po stole palce zdradzały jego zakłopotanie.

— Halo! Brygada finansowa? Tu Maigret. Proszę mnie połączyć z komisarzem Belhomme'em.

Maigret wyglądał zawsze na bardziej zainteresowanego tym, co się działo na sali, niż tym, co mówił.

— Belhomme? Tu Maigret. Potrzebuję pana, stary. Chodzi o niejakiego Manuela Palmariego, zamieszkałego, albo raczej niegdyś zamieszkałego, przy ulicy Akacjowej. Nie żyje. Jego kolesie uznali, że już dość długo pożył. Palmari posiadał restaurację „Pod Złotym Gwoździem” przy ulicy Fontaine, którą wydzierżawił jakieś trzy lata temu... Zapisał pan? Mieszkał z niejaką Aline Bauche. Ona z kolei ma konto na swoje nazwisko w filii Credit Lyonnais, przy alei Grande-Armée. Wygląda na to, że co tydzień wpłacała tam część wpływów ze „Złotego Gwoźdza”. Mam powody sądzić, że Palmari cieszył się większymi źródłami dochodów. W domu nic nie znaleziono poza paroma banknotami tysiąc — i stufrankowymi w jego portfelu oraz jakimiś dwoma tysiącami franków w torebce jego kochanki. To jasne jak słońce. Grubsza forsa musi gdzieś być, może w rękach jakiegoś notariusza, może jest ulokowana w domach handlowych lub w nieruchomościach. Albo się myślę, albo to większa afera... Pilne, tak jak zawsze. Dziękuję, stary. Do jutra.

Telefon do pani Maigret, podobnie jak to zrobił rano.

— Nie sądzę, żebym wrócił na kolację, a nawet jest możliwe, że będę w domu bardzo późno... Teraz?... W alei Wagram, w jakiejś piwiarni... Co będziesz jadła?... Omlet z ziołami?...

Wreszcie Policja Kryminalna.

— Proszę mnie połączyć z Lucasem... Halo! Lucas?... Mógłbyś zaraz przyjechać na ulicę Akacjową?... Tak... I załatw, żeby ktoś cię zmienił na noc około ósmej... Kogo masz pod ręką?... Janina?... Świetnie... Uprzedź go, że ma przed sobą bezsenność... Nie, nie na dworze... Będzie miał do dyspozycji wygodny fotel...

Młody człowiek spiekl raka i ruszył pomiędzy rzędami stolików i krzeseł za kobietą, która mogłaby być jego matką. Czy to był jego pierwszy raz?

— Kelner, duże piwo.

Na zewnątrz powietrze aż skwierczało, kobiety zaś wydawały się nagie w lekkich sukienkach.

Gdyby apodyktyczny prefekt mógł w tej chwili zobaczyć Maigreta, czy nie oskarżyłby go znowu o poświęcanie się zajęciu niegodnemu wysokiego funkcjonariusza policji?

A przecież właśnie w ten sposób komisarzowi udało się pomyślnie zakończyć większość dochodzeń: łąząc po schodach, wężąc po kątach, rozmawiając na prawo i lewo, zadając błahe na pozór pytania, spędzając całe godziny w niekiedy niezbyt godnych polecenia barach.

Mały sędzia zrozumiał to od razu i zazdrościł mu.

W kilka minut później Maigret wchodził do stróżówki w budynku, w którym mieszkała Aline. Są różne dozorcynie, podobnie jak sprzątaczkę: bardzo dobre albo bardzo złe. Zdarzało mu się spotkać czarujące, czyściutkie i wesołe, których stróżówki były wzorem porządku i czystości.

Ta jednak — musiała mieć jakieś pięćdziesiąt pięć lat — należała do innej kategorii: kobiet zrzedliwych, o złym samopoczuciu, zawsze skorych do uskarżania się na złośliwość ludzi i swój smutny los.

— To znowu pan?

Łuskała zielony groszek. Przed nią, na przykrytym ceratą okrągłym stole, stała filiżanka kawy.

— Czego pan jeszcze chce? Już panu mówiłam, że nie widziałam, by ktoś wchodził, z wyjątkiem posłańca od rzeźnika, który dostarcza mięso od lat.

— Przypuszczam, że ma pani listę lokatorów?

— A jak inaczej mogłabym inkasować czynsz? Gdyby tylko wszyscy płacili w terminie! Jak pomyślę, że jestem zmuszona chodzić po cztery, pięć razy do ludzi, którzy niczego sobie nie odmawiają...!

— Zechce mi pani dać tę listę.

— Nie wiem, czy powinnam. Może lepiej bym zrobiła pytając o pozwolenie właścicielkę.

— Czy ona ma telefon?  
— Nawet gdyby nie miała, nie musiałabym daleko chodzić.  
— Mieszka w tym budynku?  
— Coś podobnego! Usiłuje mi pan wmówić, że jej pan nie zna? Jeśli robię głupstwo, to trudno. To nie pora, żeby jej przeszkadzać, bo ma dość kłopotów i bez tego.  
— Co pani chce przez to powiedzieć?  
— Nie wiedział pan? Trudno! I tak by się pan dowiedział któregoś dnia. Kiedy policja zaczyna gdzieś szperać... To panna Bauche, tak...  
— Pokwitowania są podpisywane jej nazwiskiem?  
— A przez kogo miałyby być podpisywane, skoro dom należy do niej?  
Maigret bez zaproszenia usiadł w wiklinowym fotelu, wyrzuciwszy z niego przedtem kota.  
— Zobaczmy więc tę listę...  
— Niech pan to lepiej załatwi z panną Bauche. Z nią nie zawsze można się dogadać.  
— Jest sknerą?  
— Nie uznaje ludzi, którzy nie płacą. Poza tym to snobka. — Widzę tutaj, że mieszkanie obok pani jest zajmowane przez niejakiego Jeana Chabauda. Kto to taki?  
— Młody człowiek, nieco ponad dwadzieścia lat, pracuje w telewizji. Jest prawie stale w podróży, bo specjalizuje się w sporcie: piłka nożna, wyścigi samochodowe, Tour de France.  
— Żonaty?  
— Nie.  
— Zna Aline Bauche?  
— Nie sądzę. To ze mną podpisał umowę o najem.  
— A mieszkanie z prawej?  
— Nie umie pan czytać? Na drzwiach jest tabliczka: panna Jeanine Herel, pedikiurzystka.  
— Od dawna mieszka w tym domu?  
— Od piętnastu lat. Jest starsza ode mnie. Ma dobrą klientelę.  
— Na pierwszym piętrze po lewej stronie, François Vignon...  
— Czy już nie wolno nazywać się Vignon?  
— Kto to taki?  
— Pracuje w ubezpieczeniach, żonaty, dwoje dzieci. To drugie ma zaledwie parę miesięcy.  
— O której godzinie wychodzi z domu?  
— Około wpół do dziewiątej.  
— W mieszkaniu po prawej stronie, Justin Lavancher.  
— Kontroler w metrze. Obejmuje służbę o szóstej rano i budzi mnie przechodząc obok stróżówki już o wpół do szóstej. To zrzęda, cierpi na wątrobę. Jego żona to nadęta ważniaczka, a w ogóle to lepiej by oboje zrobili, gdyby pilnowali swojej córki, która ma dopiero szesnaście lat.  
Drugie piętro po lewej stronie: Mabel Tuppler, trzydziestoletnia Amerykanka, żyjąca samotnie, pisująca artykuły do gazet i magazynów w swoim kraju.  
— Nie. Nie przyjmuje mężczyzn. Mężczyźni jej nie interesują. Nie powiedziałabym tego o kobietach.  
Na tym samym piętrze po prawej stronie: rentierzy, którzy przekroczyli sześćdziesiątkę, państwo Maupois, kiedyś pracujący w branży obuwniczej, i ich gosposia Yolande, mieszkająca na poddaszu. Trzy lub cztery razy w roku państwo Maupois wyjeżdżają do Wenecji, Barcelony, Florencji, Neapolu, do Grecji albo gdzie indziej.  
— Co robią przez cały dzień?  
— Pan Maupois wychodzi około jedenastej na aperitif, zawsze wyelegantowany. Po południu, po sjeście, towarzyszy swojej żonie na spacerze albo w zakupach. Gdyby to nie byli tacy dusigrosze...



Trzecie piętro. Po jednej stronie niejaki Jean Destouches, nauczyciel wychowania fizycznego w jednym z gimnazjów Porte Maillot. Wychodzi z domu o ósmej rano, pozostawiając często w łóżku swoją wieczorną lub tygodniową towarzyszkę.

— Jeszcze nigdy nie widziałam takiego korowodu. Jak można uprawiać sport, kładąc się prawie co noc około drugiej?

— Czy Destouches i Aline Bauche się znają?

— Nigdy ich razem nie widziałam.

— Był tutaj, zanim została właścicielką budynku?

— Wprowadził się do domu dopiero w zeszłym roku.

— Nigdy pani nie widziała, żeby panna Bauche zatrzymywała się na jego piętrze, wchodziła lub wychodziła od niego?

— Nie.

— Po prawej, Gino Massoletti, dystrybutor samochodów jakiejś włoskiej marki we Francji. Żonaty z bardzo ładną kobietą.

— Która wcale nie wygląda na niewiniątko — dodała zrzędliva dozorczyńni. — Co do ich gosposi, która sypia na poddaszu, tak jak ta od Lavancherów, to jest tak gorąca jak kotka w marcu i co najmniej trzy razy w tygodniu muszę jej otwierać nad ranem.

Czwarte piętro: Palmari, raczej świętej pamięci Palmari, po lewej stronie, i Aline.

Na tym samym piętrze: państwo Barillard.

— Co on robi, ten Fernand Barillard?

— To handlowiec. Jest przedstawicielem wytwórni luksusowych opakowań, pudełek na czekoladki, rożków na drażetki, pudełek na flakony perfum. Na Nowy Rok daje mi flakon perfum i lukrowane kasztany, które go nic nie kosztują.

— Ile ma lat? Żonaty?

— Czterdzieści albo czterdzieści pięć. Ma dosyć ładną żonę przy kości. Jasnowłosa Belgijka, która stale się śmieje. Śpiewa przez cały dzień.

— Mają służącą?

— Nie. Ona sprząta, robi zakupy i codziennie po południu idzie na podwieczorek do herbaciarni.

— Przyjaciółka Aline Bauche?

— Nigdy ich razem nie widziałam.

Na piątym piętrze Tony Pasquier, drugi barman w Claridge'u, żonaty, dwoje dzieci w wieku ośmiu i jedenastu lat. Hiszpańska gosposia do wszystkiego, mieszkająca na poddaszu, tak jak dwie pozostałe służące w domu.

W mieszkaniu po prawej Anglik James. Stuart, kawaler, wychodzący dopiero po piątej po południu i wracający nad ranem. Bez zawodu. Sprzątaczką na późne popołudnie. Częste pobyty w Cannes, Monte Carlo, Deauville, Biarritz, a zimą w górskich miejscowościach w Szwajcarii.

— Żadnych stosunków z Aline Bauche?

— Dlaczego pan chce, żeby cały dom miał z nią zaraz stosunki? A właściwie co pan rozumie przez stosunki? Wyobraża pan sobie, że śpią ze sobą? Ani jeden lokator nie wie, że ona jest właścicielką domu.

Maigret na wszelki wypadek nie omieszkał postawić krzyżyka przy nazwisku Anglika; nie żeby go łączył z prowadzoną sprawą, ale dlatego, że mógł być ewentualnym klientem Policji Kryminalnej. Na przykład służb zajmujących się hazardem.

Pozostało poddasze. Cztery służące, po kolei, począwszy od prawej: Yolande, gosposia państwa Maupoia, rentierów z drugiego piętra; hiszpańska gosposia Mossolletich; gosposia Lavancherów i wreszcie służąca Tony'ego — barmana.

— Czy ten Stuart od dawna tu mieszka?

— Od dwóch lat. Wprowadził się po handlarzu dywanów armeńskich, od którego odkupił meble.

Następna lokatorka poddasza: panna Fav, którą nazywano panną Josette, stara panna, będąca najstarszą mieszkanką tego budynku. Miała osiemdziesiąt dwa lata i nadal sama sprzątała i robiła zakupy.

— Jej pokój jest pełen klatek z ptakami, które ustawia obok siebie na parapecie okiennym. Ma co najmniej dziesięć kanarków.

Pusty pokój, po nim zaś pokój Jefa Claesa.

— Kto to taki?

— Stary, samotny głuchoniemy W 1940 roku uciekł z Belgii wraz z dwiema zameźnymi córkami i wnukami. Kiedy na Północy, zdaje się, że w Douai czekali na pociąg dla uchodźców, który miał ich zabrać, dworzec został zbombardowany. Było ponad stu zabitych. Z córek i wnucząt prawie nic nie zostało. Stary dostał w głowę i w twarz. Jeden z jego zięciów zginął w Niemczech, drugi ożenił się po raz drugi w Ameryce, Mieszka sam, wychodzi tylko po to, żeby kupić coś do jedzenia.

Zielony groszek już od dawna był wyluskany.

— Teraz mam nadzieję, że mnie pan zostawi w spokoju. Chciałabym tylko wiedzieć, kiedy z powrotem przywiezą ciało i jakiego dnia odbędzie się pogrzeb. Muszę zrobić zbiórkę na wieniec od lokatorów.

— Nic nie można jeszcze ustalić.

— Zdaje się, że ktoś pana szuka...

To Lucas właśnie zatrzymał się przed stróżówką.

— Policjantów wyczuwam na dziesięć metrów!

Maigret uśmiechnął się.

— Dziękuję!

— Jeżeli odpowiedziałam na pańskie pytania, to tylko dlatego, że mam taki obowiązek. Ale ja nie jestem kapusiem i gdyby każdy zajmował się swoimi sprawami...

Poszła otworzyć okno wychodzące na podwórze, jakby chciała oczyścić stróżówkę z gnilnych wyziewów, które Maigret mógł tam zostawić.

— Co robimy, szefie? — zapytał Lucas.

— Wchodzimy na górę. Czwarte piętro po lewej stronie. Janvier musi marzyć o szklance zimnego piwa. Chyba że Aline stała się nagle ludzka i zaproponowała mu jedną z butelek, które zauważyłem w lodowce dziś rano.

\* \* \*

Kiedy Maigret zadzwonił do drzwi, Janvier, który przyszedł otworzyć, miał dziwną minę. Komisarz znalazł wyjaśnienie przekraczając próg salonu. Aline wychodziła zeń właśnie drugimi drzwiami, tymi od sypialni; zamiast w jasnoniebieskiej sukience, którą miała na sobie rano, była w negliżu z pomarańczowego jedwabiu. Na nocnym stoliku znajdowały się dwie szklanki, z tego jedna napelniona do połowy, butelki z piwem i świeżo rozdane karty do gry.

— Wie pan, szefie, to wcale nie jest tak, jak pan mógł sobie pomyśleć — bronił się niezdarnie inspektor.

Oczy Maigreta śmiały się. Niedbale liczył karty.

— Belotka?

— Tak. Zaraz panu wyjaśnię. Kiedy pan poszedł, nalegałem, żeby coś zjadła. Nie chciała o niczym słyszeć i zamknęła się w sypialni.

— Nie próbowała telefonować?

— Nie. Leżała przez jakieś trzy kwadransy i pojawiła się na nowo w peniuarze, zdenerwowana, ze spojrzeniem kogoś, kto na próżno usiłował zasnąć. Inspektorze, w końcu

jestem u siebie, a i tak jestem więźniem” — powiedziała. „Co by się stało, gdyby przyszło mi do głowy wyjść?” Wydawało mi się, że dobrze robię odpowiadając: „Nie przeszkodziłbym pani, ale śledziłby panią jakiś inspektor”, „Zamierza pan zostać całą noc?” „Nie ja. Jeden z moich kolegów”. „Gra pan w karty?” „Zdarza się”. „A może byśmy zagrali w belotkę dla zabicia czasu? To mi pomoże nie myśleć”.

— Aha — rzekł Maigret do Lucasa — powinieneś zadzwonić do komendy, żeby jeden z naszych ludzi zaczął się przed domem. Ktoś, kogo nie wyśledzą.

— Bonfils jest na miejscu. On jest najlepszy do tego rodzaju roboty.

— Niech uprzedzi żonę, że nie wróci na noc. Gdzie jest Lapointe?

— W biurze.

— Niech przyjdzie tu, wejdzie na górę i zostanie z tobą aż do mojego powrotu. Grasz w belotkę, Lucas?

— Staram się nie grać.

— Być może Aline ciebie też zagoni.

Zapukał do drzwi sypialni, które natychmiast się otworzyły. Aline musiała podsłuchiwać.

— Proszę mi wybaczyć, że przeszkadzam.

— Jest pan u siebie, prawda? Trzeba to jasno powiedzieć!

— Pragnę po prostu być do pani dyspozycji na wypadek, gdyby chciała pani powiadomić jedną lub więcej osób. Gazety nie wspomną o niczym przynajmniej do jutra. Czy życzy pani sobie na przykład, żebym uprzedził dzierżawcę „Złotego Gwoździa” o tym, co się stało? Albo może notariusza bądź kogoś z rodziny?

— Manuel nie miał już rodziny.

— A pani?

— Ona nie martwi się o mnie, ani ja o nią.

— Gdyby rodzina wiedziała, że jest pani właścicielką takiego domu jak ten, prędko by się znalazła w Paryżu, nie sądzi pani?

Przyjęła cios, lecz nie zaprotestowała, nie zadała żadnego pytania.

— Będzie czas jutro wezwać przedstawiciela zakładu pogrzebowego, ponieważ na razie nie da się przewidzieć, kiedy zostanie pani zwrócone ciało. Życzy pani sobie, żeby je przywieziono tutaj?

— Przecież tutaj mieszkał, nie?

— Radzę pani jeść. Zostawiam pani inspektora Lucasa, którego pani zna. Jeżeli będzie mi pani miała cokolwiek do powiedzenia, będę przez jakiś czas w budynku.

Tym razem spojrzenie młodej kobiety stało się bardziej przenikliwe.

— W budynku?

— Przyszła mi ochota poznać lokatorów.

Śledziła go wzrokiem, podczas gdy wysyłał Janviera do domu.

— Lucas, przyślę ci zastępstwo około ósmej lub dziewiątej wieczorem.

— Kazałem przyjść Janinowi, ale wolę zostać, szefie. Gdyby tylko ktoś mógł mi przynieść kanapki.

— I piwo...

Lucas pokazał puste butelki.

— Chyba że coś zostało w lodówce.

Przez dwie godziny Maigret przemierzał dom wzdłuż i wszerz, z dołu do góry, uprzejmy i cierpliwy, z uporem domokrązcy.

Zapisane u dozorczyni nazwiska stopniowo zatracaly swój abstrakcyjny charakter, stając się sylwetkami, twarzami, oczami, głosami, ludzkimi istotami.

Pedikiurzystka z parteru równie dobrze mogłaby być kabalarką. Miała bardzo bladą twarz, w której widać było jedynie czarne, niemal hipnotyczne oczy.

— Dlaczego policja? Nie zrobiłam w życiu nic złego. Proszę zapytać moją klientkę, którą się opiekuję od dziewięciu lat.

— Ktoś umarł w domu.

— Widziałam, jak wynoszą ciało, ale byłam zajęta. Kto to taki?

— Pan Palmari.

— Nie znam. Na którym piętrze?

— Na czwartym.

— Słyszałam o nim. Ma bardzo śliczną żonę, trochę zmanierowaną. Jego nigdy nie widziałam. Czy był młody?

Chabauda, tego od telewizji, nie było. Kontroler z metra jeszcze nie wrócił, lecz jego żona znajdowała się właśnie w mieszkaniu z przyjaciółką: obie siedziały przy ciasteczkach i filizankach gorącej czekolady.

— Co mam panu powiedzieć? Nawet nie wiem, kto nad nami mieszka. Jeżeli ten człowiek nie ruszał się z mieszkania, nic dziwnego, że nie spotkałam go na schodach. Co do mojego męża, to nigdy nie wchodził wyżej niż nasze piętro. Co by robił na górze?

Naprzeciwko jeszcze jedna kobieta; niemowlę w kołysce, na podłodze dziewczynka z gołą pupą, butelki w sterylizatorze.

Na następnym piętrze miss Tumpler pisała na maszynie. Była wysoka, dobrze zbudowana, zaś z powodu upału miała na sobie jedynie piżamę, której bluza była rozpięta na piersiach. Nie odczuwała potrzeby zapięcia jej.

— Morderstwo w domu? *How exciting!* Aresztował pan... jak wy to mówicie?... murdercę?... A pańskie nazwisko być Maigret?... Ten Maigret z Quai des Orfèvres?...

Ruszyła ku butelce bourbona, stojącej na stole.

— Pan sobie golnąć, jak mówią Francuzi?

Golnął sobie, przez jakieś dziesięć minut słuchał jej paplaniny, zastanawiając się, czy wreszcie zakryje te piersi.

— „Pod Złotym Gwoździem”?... Nie... Nie byłam... Ale w Stanach prawie wszystkie nocne kluby należą do gangsterów... Palmari być gangster?

Komisarzowi przesuwiał się w ten sposób przed oczyma cały Paryż w pigułce, wraz ze zmieniającymi się z piętra na piętro przeciwieństwami, jakie spotyka się pomiędzy poszczególnymi dzielnicami i ulicami.

U Amerykanki królowała bezładna cyganeria, odwrotnie niż u rentierów z naprzeciwna, gdzie wszystko było przytłumione, cukierkowe, zapach zaś przywodził na myśl karmelki i konfitury. Na fotelu, z gazetą na kolanach, spał mężczyzna o siwych włosach.

— Proszę nie mówić zbyt głośno. On nie cierpi, jak go się nagle budzi. Pan prowadzi jakąś akcję dobroczynną?

— Nie. Jestem z policji.

Wiadomość ta zdawała się wprawiać starszą panią w zachwyt.

— Naprawdę! Z policji! W tym spokojnym domu! Nie powie mi pan chyba, że jakiś lokator został okradziony!

Twarz miała łagodnie uśmiechniętą i dobrą niczym siostra z zakonu świętego Wincentego.

— Zbrodnia? To dlatego dziś rano był taki ruch? Nie, proszę pana, nie znam nikogo oprócz dozorczyńni.

Nauczyciela wychowania fizycznego z Trzeciego piętra także nie było, otworzyła jednak młoda kobieta z oczyma zamglonymi od snu, owinięta kołdrą.

— Co pan mówi? Nie. Nie wiem, kiedy wróci. Przyszłam tu po raz pierwszy.

— Kiedy go pani poznała?

— Wczoraj wieczorem, albo raczej dzisiaj rano, bo było już po północy. W jednym barze przy ulicy Presbourg. Co on takiego zrobił? Wygląda na porządnego chłopaka.

Nie było sensu nalegać. Mówiła z trudem, jako że miała potężnego kaca.

U Massolettich była tylko gospoia, która łamaną francuszczyzną wyjaśniła, że jej pracodawczyni poszła spotkać się z mężem u Fouqueta i że oboje mieli zjeść kolację w mieście.

Umeblowanie było nowoczesne, jaśniejsze i weselsze niż w innych mieszkaniach. Na kanapie poniewierała się gitara.

Na piętrze Palmariego Fernand Barillard jeszcze nie wrócił. Drzwi otworzyła podśpiewując bardzo jasna blondynka przy kości, około trzydziestki.

— Coś takiego! Już pana mijałam na schodach! Co pan sprzedaje?

— Policja Kryminalna.

— Prowadzi pan dochodzenie w sprawie tego, co się wydarzyło dziś rano?

— Skąd pani wie, że coś się wydarzyło?

— Pańscy koledzy narobili dosyć hałasu! Wystarczyło uchylić drzwi, żeby usłyszeć ich komentarze. Tak na marginesie, to mają dziwny sposób mówienia o zmarłym, zwłaszcza ci, którzy znosili ciało nabijając się.

— Znała pani Manuela Palmariego?

— Nigdy go nie widziałam, ale zdarzyło mi się słyszeć jak wrzeszczy.

— Wrzeszczy? Co pani chce przez to powiedzieć?

— Zdaje się, że nie był łatwy w pożyciu. Rozumiem go, ponieważ dozorczyńni mi mówiła, że jest kaleką. Czasami potrafił się rozzłościć!

— Na Aline?

— Ona ma na imię Aline? W każdym razie to ciekawa osóbką. Początkowo, kiedy mijałam ją na schodach, kiwałam jej głową na dzień dobry, ale ona patrzyła na mnie jak na powietrze. Jakiego rodzaju to kobieta? Czy oni byli po ślubie? Czy to ona go zabiła?

— O której godzinie pani mąż zaczyna pracę?

— To zależy. Różnie bywa. Nie ma stałych godzin jak urzędnik w biurze.

— Wraca na obiad?

— Rzadko, ponieważ najczęściej znajduje się w jakiejś odległej dzielnicy albo na przedmieściu. Jest przedstawicielem handlowym.

— Wiem. Kiedy wyszedł dziś rano?

— Nie wiem, bo poszłam bardzo wcześnie po zakupy.

— Co pani nazywa bardzo wcześnie?

— Około ósmej. Kiedy wróciłam o wpół do dziesiątej, już go nie było.

— Nie spotkała pani sąsiadki w sklepach?

— Nie. Zapewne nie mamy tych samych dostawców.

— Od dawna jest pani zamężna?

— Od ośmiu lat.

Tuziny, tuziny pytań i tyleż samo odpowiedzi, które rejestrowała pamięć Maigreta. Tylko niektóre z nich, być może tylko jedna, w konkretnym momencie nabiorą znaczenia.

Barman był u siebie, jako że pracował dopiero od szóstej. Gospoia z dwójką dzieci znajdowała się w pierwszym pokoju, przekształconym w salę zabaw. Jeden z malców strzelił do komisarza krzycząc;

— Pif! Paf! Pan nie żyje!

Tony Pasquier, mający twardy i gęsty zarost, golił się po raz drugi tego dnia. Jego żona przyszywała guzik do spodni jednego z dzieci.

— Jakie nazwisko pan wymienił? Palmari? Powiniennem go znać?

— To pański sąsiad z dołu, a raczej były sąsiad z dołu jeszcze dzisiaj rano.

— Czy coś mu się stało? Mijałem na schodach policjantów, a kiedy wróciłem o wpół do trzeciej, żona mi powiedziała że zabierano ciało.

— Nigdy pan nie był „Pod Złotym Gwoździem”?

— Osobiście nie, ale zdarzyło mi się wysyłać tam klientów.



— Dlaczego?

— Niektórzy pytają, gdzie można coś zjeść w takiej czy innej dzielnicy. „Złoty Gwóźdź” ma dobrą opinię. Kiedyś znałem kierownika sali, Pernelle’a, który pracował w Claridge’u. On zna swój fach.

— Nie zna pan nazwiska właściciela lokalu?

— Nigdy o to nie pytałem.

— A kobiety, Aline Bauche, nigdy pan nie spotkał?

— Dziewczyny z czarnymi włosami i w obcisłej sukience, którą zdarzyło mi się mijać na schodach?

— To właścicielka domu, w którym pan mieszka.

— Pierwsze słyszę. Nigdy nie powiedziałem do niej słowa. A ty, Lulu?

— Nie cierpię kobiet jej pokroju.

— Sam pan widzi, panie Maigret. Nie mamy dla pana żadnych rewelacji. Może innym razem będzie pan miał więcej szczęścia.

Anglik był nieobecny. Na ostatnim piętrze długi koniarz był oświetlony jedynie przez okienko w dachu. Od strony podwórza znajdował się olbrzymi strych, gdzie lokatorzy składali byle jak stare walizki, manekiny krawieckie, skrzynie — istna graciarnia z pchlego targu.

Od strony fasady, niczym w koszarach, był rząd drzwi. Rozpoczął od tych w głębi, drzwi Yolande, gosposi rentierów z drugiego piętra. Były otwarte i spostrzegł przezroczystą koszulę nocną na rozgrzebanym łóżku, na dywaniku zaś sandały.

Następne drzwi, zgodnie z naszkicowanym przez Maigreta w notesie planem prowadzące do pokoju Amelii, były zamknięte. Kolejne również.

Kiedy zapukał do czwartych, jakiś słaby głos poprosił go, by wszedł. Przez klatki z ptakami, wypełniające cały pokój, zauważył siedzącą pod oknem w wolterowskim fotelu starą kobietę o okrągłej, bladawej twarzy.

Już miał się wycofać, zostawić ją jej marzeniom. Trudno było określić, w jakim była wieku, wyglądała tak, jakby ze światem wiązała ją jedynie cienka nić, spoglądała zaś na przybysza z radosną pogodą.

— Proszę wejść, mój dobry panie. Proszę się nie bać moich ptaków.

Oprócz kanarków była tam też ogromna papuga, usadowiona na huśtawce. Ptak począł krzyczeć:

— Malutki...! Grzeczny malutki...! Jesteś głodny, malutki...? Maigret wyjaśnił, że jest z policji i że w domu zostało popełnione przestępstwo.

— Wiem, mój panie. Powiedziała mi o tym dozorczyńni, kiedy poszłam po zakupy. Cóż to za nieszczęście zabijać się wzajemnie, kiedy życie jest takie krótkie! To zupełnie jak wojny. Mój ojciec był na tej w 1870 i tej w 1914 roku. Ja też przeżyłam dwie.

— Nie znała pani pana Palmariego?

— Ani jego, ani nikogo innego poza dozorczynią, która nie jest taka zła, jak wygląda. Przeżyła wiele nieszczęść, biedaczka. Jej mąż latał za spódniczkami, a oprócz tego pił.

— Nie słyszała pani, żeby jakiś lokator wchodził na to piętro?

— Zdarza się od czasu do czasu, że ludzie przychodzą na strych coś zabrać albo zostawić. Ale wie pan, przy moim stale otwartym oknie i śpiewających ptakach...

— Odwiedza pani sąsiada?

— Pana Jefa? Można by sądzić, że jesteśmy w tym samym wieku. W rzeczywistości on jest dużo młodszy ode mnie. Musiał zaledwie przekroczyć siedemdziesiątkę. Wydaje się starszy z powodu ran. Pan też go zna? Jest głuchoniemy i zastanawiam się, czy to nie smutniejsze niż być niewidomym. Uważa się, że niewidomi są weselsi niż głusi. Wkrótce się o tym przekonam, bo mój wzrok z każdym dniem słabnie i nie potrafiłabym powiedzieć, jaką pan ma twarz. Rozróżniam tylko jasne plamy i cienie. Nie chce pan usiąść?



Na ostatek pozostał starzec, który przed nadejściem Maigreta czytał komiksowe pismo dla dzieci. Miał pokiereszowaną twarz, a jedna z blizn uniosła mu kącik ust, tak że wyglądało jakby się ciągle uśmiechał.

Nosił niebieskie okulary. Stojący pośrodku pokoju duży stół z jasnego drewna pokryty był drobiazgami i nieoczekiwanymi przedmiotami: zestawem do majsterkowania dla chłopca, pociętymi kawałkami drewna, starymi czasopismami, gliną, z której starzec ulepił trudne do odgadnięcia zwierzę.

Żelazne łóżko przypominało koszarową pryczę, podobnie szorstka kołdra, zaś na pobielanych wapnem ścianach wisiały chromolitografie przedstawiające skąpane w słońcu miasta: Niceę, Neapol, Istambuł... Na podłodze — znowu stosy czasopism.

Używając rąk, które nie drżały pomimo podeszłego wieku, mężczyzna usiłował wyjaśnić, że jest głuchy i niemy, że nie może nic powiedzieć. Maigret z kolei gestem pokazał mu, że jest bezsilny. Wówczas jego rozmówca dał mu do zrozumienia, że potrafi czytać z ruchów warg.

— Proszę wybaczyć, że pana niepokoję. Jestem z policji. Czy nie znał pan przypadkiem lokatora o nazwisku Palmari?

Maigret pokazał ręką na podłogę, co oznaczało, że Palmari mieszkał niżej i wystawił dwa palce dla sprecyzowania liczby pięter. Stary Jef pokręcił głową, komisarz zaś wspominał o Aline.

Z tego, co mógł zrozumieć, starzec spotykał ją na schodach. Opisał ją w zabawny sposób, jakby rzeźbiąc w powietrzu jej wąską twarz i zaokrągloną, lecz szczupłą sylwetkę.

Kiedy Maigret z powrotem znalazł się na czwartym piętrze, miał wrażenie, że zwiedził cały świat. Czuł się bardziej ociążały i nieco smutny. Śmierć Manuela w wózku inwalidzkim spowodowała jedynie małe poruszenie, zaś niektórzy ludzie, oddzieleni odeń od wielu lat zaledwie ścianą, podłogą czy sufitem, nie wiedzieli nawet, kogo zabrano pod brezentową plandeką.

Lucas już nie grał w karty. Aline w salonie nie było.

— Myślę, że śpi.

Młody Lapointe był na miejscu, uszczęśliwiony, że będzie pracował z szefem.

— Wziąłem samochód. Czy dobrze zrobiłem?

— Zostało jeszcze piwo, Lucas?

— Dwie butelki.

— Otwórz mi jedną, a ja każę dostarczyć ci pół tuzina.

Była godzina szósta. W Paryżu zaczynały się tworzyć korki, a jakiś kierowca lekceważąc przepisy trąbił pod oknami kamienicy.

## IV

Znajdujący się przy ulicy Fontaine „Złoty Gwóźdź” sąsiadował z jednej strony z trzeciorzędną knajpą ze striptizem, z drugiej natomiast ze sklepem bieliźniarskim, wyspecjalizowanym w bardzo fantazyjnej damskiej bieliźnie, którą cudzoziemcy przywozili do swych krajów jako pamiątki z Wesołego Paryża.

Maigret i Lapointe zostawili samochód policyjny przy ulicy Chaptal i szli teraz powoli chodnikiem, gdzie z poczciwym dziennym strumieniem ludzi poczynały się mieszać całkowicie odmienne postaci nocnego świata.

Była godzina siódma. Miejscowy wykidajło, nazywany przez wszystkich Jo Silną Ręką, jeszcze nie stał na posterunku na progu restauracji w swym niebieskim uniformie ze złotą lamówką.

Maigret dobrze go znał. Miał wygląd dawnego jarmarcznego boksera, chociaż nigdy nie włożył sześć- bądź ośmiouncjowych rękawic i mając jakieś czterdzieści lat, spędził połowę swego życia za kratkami, najpierw jako małoletni w domu poprawczym, a następnie w więzieniu, z wyrokami od sześciu miesięcy do dwu lat, za bezsensowne kradzieże albo pobicia lub zranienia.

Miał inteligencję dziesięcioletniego dziecka, zaś w niespodziewanych sytuacjach jego spojrzenie stawało się miękkie, niemal błagalne, jak wyraz oczu ucznia, pytanego przez nauczyciela z lekcji, której się nie nauczył.

Znaleźli go wewnątrz, bez liberii, zajętego wycieraniem szmatą ławek krytych płową skórą; rozpoznał komisarza, ale na jego twarzy odmalowało się tyle uczuć co na kawałku drewna.

Obydwaj kelnerzy krzatali się przy nakryciach, stawiając na obrusach talerze ze znakiem firmowym, kieliszki i srebra, a pośrodku każdego stołu dwa świeże kwiaty w kryształowym wazoniku.

Lampy o różowych abażurach nie paliły się, jako że słońce złoćło jeszcze chodnik po przeciwnej stronie.

Barman Justin, w białej koszuli i czarnym krawacie, ostatni raz przecierał kieliszki, zaś jedyny klient — siedzący na wysokim stoiku gruby mężczyzna o czerwonej twarzy — popijał zielony likier miętowy.

Maigret gdzieś go już widział. Była to twarz znajoma, lecz nie od razu ją umiejscowił. Czy spotkał go na wyścigach, tutaj czy też w swoim biurze w Komendzie Głównej?

Na Montmartre aż roіło się od ludzi, którzy mieli z mm do czynienia, niekiedy wiele lat temu, a którzy znikali na krócej bądź dłużej, udając się na pobyt w więzieniu w Fonteverault czy Melun albo też rozpływając się w przyrodzie w oczekiwaniu, że zostaną zapomniani.

— Dobry wieczór, panie komisarzu. Dobry wieczór, inspektorze — powiedział swobodnie Justin, — Jeśli na kolację, to przyszli panowie trochę za wcześniej. Co podać?

— Piwo.

— Holenderskie, duńskie, niemieckie?

Z zapleczka bezszelestnie wyszedł kierownik o rzadkich włosach, bladej i nieco obrzmiałej twarzy, z sinymi workami pod oczyma.

Nie zdradzał zaskoczenia ani poruszenia, zbliżając się do policjantów. Podał zwiotczałą dłoń Maigretowi, następnie ścisnął rękę Lapointe'owi, nim wreszcie oparł się o bar nie siadając jednak. Pozostało mu już tylko włożyć smoking, by być gotowym na przyjęcie gości.

— Spodziewałem się pana dzisiaj. Nawet byłem zdziwiony, że nie przyszedł pan wcześniej. Co pan o tym sądzi?

Wydawał się niespokojny albo zasmucony.

— Co sądzę o czym?

— Ktoś go jednak w końcu dostał. Czy przychodzi panu na myśl, kto to zrobił?

Tak więc, pomimo że prasa nie wspomniała o śmierci Manuela, pomimo że Aline pozostawała przez cały dzień pod obserwacją i nigdzie nie dzwoniła, „Pod Złotym Gwoździem” znano nowinę.

Gdyby jakiś policjant z dzielnicy Ternes się wygadał, powierzyłby tajemnicę reporterowi. Co zaś do lokatorów budynku, wyglądało na to, że nie mają oni żadnych powiązań ze środowiskiem z Montmartre’u.

— Od której godziny zna pan tę wiadomość, Jean-Loup?

Tak miał bowiem na imię dzierżawca, pełniący także funkcję kierownika sali. Policja nie miała mu nic do zarzucenia. Pochodził z l’Allier, zaczął pracować jako kelner w Vichy. Wcześniej się ożenił i założył rodzinę. Jego syn studiował medycynę, zaś jedna z jego córek wyszła za mąż za właściciela restauracji na Polach Elizejskich. Prowadził mieszczańskie życie w willi, którą kazał zbudować w Choisy-le-Roi.

— Nie wiem — odparł ze zdziwieniem. — Dlaczego pan o to pyta? Przypuszczam, że wszyscy ją znają.

— Gazety nie pisały o zbrodni. Niech pan spróbuje sobie przypomnieć. Czy wiedział pan coś w porze obiadowej?

— Zdaje mi się, że tak. Klienci mówią nam o tylu rzeczach! A ty sobie przypominasz, Justin?

— Nie. Przy barze też się o tym mówiło.

— Kto?

Maigret napotkał przeszkodę w postaci reguły milczenia. Nawet jeśli dzierżawca Pernelle nie należał do półświatka i prowadził najprzekładniejszy tryb życia, to i tak był związany tajemnicą przez część swojej klienteli.

„Złoty Gwóźdź” nie był już tym samym barem, co kiedyś, gdzie spotykało się wyłącznie rzezimieszków, o których prowadzący wówczas lokal Palmari, nie każąc się zbytnio prosić, dawał cynk komisarzowi.

Restauracja dorobiła się zamożnej klienteli. Przychodziło tu wielu cudzoziemców, a także około dziesiątej lub jedenastej wieczorem sporo rozrywkowych pań, jako że kolację podawano aż do północy. Niektóre grube ryby ze świata przestępczego zachowały swe zwyczaje, lecz nie były to już młodzieniaszki gotowe na każdy skok. Mieli okazałe domy, a większość z nich także żony i dzieci.

— Chciałbym wiedzieć, kto powiedział wam o tym pierwszy. Maigret zarzucił wędkę, jak sam to określał.

— Czy nie przypadkiem niejaki Massoletti?

Zdążył już zapamiętać nazwiska wszystkich lokatorów z domu przy ulicy Akacjowej.

— A co on robi?

— Pracuje w branży samochodowej... Samochody włoskie...

— Nie znam. A ty, Justin?

— Pierwszy raz słyszę to nazwisko. Wyczuwało się, że obydwaj mówią szczerze.

— Vignon?

Pokręcili głowami bez żadnego błysku w oczach.

— Nauczyciel wychowania fizycznego o nazwisku Destouches?

— Nieznany w tej okolicy.

— Tony Pasquier?

— Znam go — wtrącił Justin.

— Ja też — dodał Pernelle. — Zdarza mu się podsyłać mi klientów. To drugi barman w Claridge’u, prawda? Nie widziałem go od miesiąca.

— Nie dzwonił dzisiaj?

— On dzwoni tylko po to, żeby polecić jakiegoś specjalnego klienta.

— A może to pański wykidajło powiedział panu nowinę?

Osilek splunął na podłogę udając obrzydzenie i burcząc przez sztuczne zęby warknął:

— Uwzięli się na mnie, czy co!

— James Stuart, Anglik? Też nie! Fernand Barillard?

Przy każdym nazwisku obaj mężczyźni przybierali miny jakby szukali go w pamięci i po raz kolejny kręcili przecząco głowami.

— Kto panów zdaniem był zainteresowany zlikwidowaniem Palmariego?

— Nie po raz pierwszy ktoś miał mu coś za złe.

— Tylko że tych dwóch ludzi, którzy poprzednio puścili mu serię z pistoletu maszynowego, ktoś sprzątnął. A Palmari przestał wychodzić z domu. Niech mi pan powie, Pernelle, kiedy „Złoty Gwóźdź” przeszedł w inne ręce?

Na bladej twarzy kierownika lokalu pojawił się lekki rumieniec.

— Pięć dni temu.

— A kto jest obecnym właścicielem?

Zawahał się tylko chwilę. Zrozumiał, że Maigret jest poinformowany i że na nic by się zdało kłamać.

— Ja.

— Od kogo pan kupił lokal?

— Oczywiście od Aline.

— Od kiedy Aline była rzeczywistą właścicielką?

— Nie pamiętam daty. Od ponad dwóch lat.

— Czy akt sprzedaży przeszedł przez ręce notariusza?

— Wszystko jak najbardziej zgodnie z przepisami.

— Który to notariusz?

— Mecenas Desgrieres, przy bulwarze Pereire.

— Cena?

— Dwieście tysięcy.

— Nowych franków, jak przypuszczam?

— Ma się rozumieć.

— Płatne w gotówce?

— W gotówce. Do tego stopnia, że trzeba było sporo czasu, by policzyć banknoty

— Aline wzięła je w teczce czy w walizce?

— Nie wiem. Ja wyszedłem pierwszy.

— Czy wiedział pan, że budynek przy ulicy Akacyjowej też należy do kochanki zmarłego Manuela?

Obydwaj mężczyźni czuli się coraz bardziej nieswojo.

— Zawsze krążą jakieś słuchy. Widzi pan, panie komisarzu, jestem uczciwym człowiekiem, jak Justin. Obaj mamy rodziny. Jako że restauracja znajduje się na Montmartre, wśród naszej klienteli można spotkać rozmaitych ludzi. Zresztą prawo nie pozwala wyrzucić ich za drzwi, chyba że są kompletnie pijani, co się rzadko zdarza. Słyszysz się różne historie, ale wolimy o nich zapomnieć. Prawda, Justin?

— Zgadza się.

— Zastanawiam się — mruknął komisarz — czy Aline miała kochanka.

Żaden z nich się nie odezwał, nie powiedział ani tak, ani nie, co odrobinę zaskoczyło Maigreta.

— Nigdy nie spotykała się tu z mężczyznami?

— Nawet nie zatrzymywała się przy barze. Szła prosto do mojego biura na antresolę i sprawdzała rachunki jak kobieta interesu, zanim brała należną jej część.

— Czy to pana nie dziwi, że, jak się zdaje, taki człowiek jak Palmari przelał na jej nazwisko wszystko albo sporą część tego, co posiadał?

— Wielu handlowców i ludzi interesu w przewidywaniu kłopotów finansowych przepisuje swój majątek na nazwisko żony.

— Palmari nie był żonaty — zaprotestował Maigret. — A do tego między nimi było trzydzieści pięć lat różnicy.

— Ja też o tym myślałem. Widzi pan, myślę, że Manuel naprawdę stracił głowę. Miał do Aline absolutne zaufanie. Kochał ją. Przysięgłbym, że nigdy nikogo nie kochał, nim ją spotkał.

W tym swoim fotelu inwalidzkim czuł się bezbronny. Ona stała się dla niego całym życiem bardziej niż kiedykolwiek, jedyną istotą łączącą go ze światem zewnętrznym.

— A ona?

— Z tego, co mogę wywnioskować, też go kochała. Takim dziewczynom jak ona to też się zdarza. Zanim go poznała, spotykała tylko mężczyzn, którzy zażywali z nią rozkoszy, nie traktując jej jak ludzką istotę, rozumie pan? Takie Aliny są wrażliwsze niż uczciwe kobiety — na uwagę, jaką się je obdarza, na uczucia, na perspektywę spokojnego życia.

Po drugiej stronie kontuaru gruby mężczyzna o czerwonej twarzy zamawiał jeszcze jeden likier miętowy.

— Już się robi, panie Louisie.

Maigret zaś spytał cicho,

— Co to za pan Louis?

— Klient. Nie znam jego nazwiska, ale dosyć często przychodzi na jeden lub dwa likiery miętowe z wodą. Przypuszczam, że mieszka w tej dzielnicy.

— Był tu na południowym aperitifie?

— Był tu, Justin? — powtórzył pytanie półgłosem Pernelle.

— Zaraz, zaraz. Zdaje mi się, że tak. Pytał, czy mam cynk na temat jakiejś tam gonitwy.

Pan Louis ocierał sobie twarz i spoglądał na swoją szklankę posepnym wzrokiem.

Maigret wyjął z kieszeni notes i napisał w nim kilka słów, które dał do przeczytania Lapointe'owi.

„Śledź go, jeśli wyjdzie. Spotkamy się tutaj. Jeśli mnie już nie będzie, zadzwoń do mnie do domu”.

— Niech mi pan powie, Pernelle, póki nie jest pan jeszcze zbyt zajęty, miałby pan coś przeciwko temu, żebyśmy weszli na chwilę na antresolę?

Była to prośba, której właściciel restauracji oczywiście nie mógł odrzucić.

— Tędy...

Pernelle miał płaskie stopy i chodził jak kaczką, podobnie jak większość starszych wiekiem restauratorów. Schody były wąskie i ciemne. Nie odznaczały się luksusem i komfortem, jak restauracja. Właściciel wyjął z kieszeni pęk kluczy, otworzył pomalowane na brązowo drzwi i obaj znaleźli się w małym pokoiku wychodzącym na podwórze.

Owalne biurko było zavalone fakturami, prospektami, piórami, ołówkami i papierem z firmowym nagłówkiem, znajdowały się na nim dwa telefony. Na półkach z jasnego drewna stały rzędy zielonych kartonów, zaś na przeciwległej ścianie widniały oprawione w ramki fotografie pani Pernelle, młodszej o dwadzieścia bądź trzydzieści lat, dwudziestoletniego chłopca i młodej dziewczyny, która z rozmarzeniem pochylała głowę, podpierając brodę ręką.

— Niech pan siada, Pernelle, i niech pan mnie uważnie posłucha. A może byśmy tak zagrali w otwarte karty?

— Zawsze grałem w otwarte karty.

— Dobrze pan wie, że nie, że nie może pan sobie na to pozwolić, bo inaczej nie byłby pan właścicielem „Złotego Gwoźdźca”. Dla poprawienia samopoczucia zdradzę panu tajemnicę, która teraz jest bez znaczenia dla osoby, której dotyczy. Kiedy dwadzieścia lat temu Manuel kupił to, co wtedy było jeszcze tylko bistro, czasami przychodziłem tu z rana na



kieliszeczek, w porze, kiedy miałem pewność, że będzie sam. Zdarzało się też, że do mnie dzwonił lub składał mi po cichu wizytę przy Quai des Orfèvres.

— Kapuś? — mruknął Pernelle bez większego zaskoczenia.

— Domyślał się pan tego?

— Nie wiem. Być może. Przypuszczam, że to właśnie z tego powodu strzelano do niego trzy lata temu?

— Możliwe. Tylko że Manuel był spryciarzem; niekiedy dostarczał mi informacji o płótkach, a w tym czasie sam zajmował się grubszymi aferami, o których nie pisał ani słowa.

— Nie chce pan, żebym kazał przynieść butelkę szampana?

— To chyba jedyny napój, który mnie nie pociąga.

— A piwo?

— Na razie nic.

Pernelle najwyraźniej cierpiał.

— Manuel był bardzo silny — ciągnął! Maigret, nie przestając wpatrywać się w oczy swemu rozmówcy. — Tak silny, że nigdy nie zdołałem zdobyć żadnego dowodu przeciw niemu. Wiedział, że znam przynajmniej sporą część prawdy. Nie zadawał sobie trudu, żeby zaprzeczać. Patrzył na mnie spokojnie, z odrobiną ironii, a kiedy stawało się to konieczne, wydawał mi jednego ze swoich pionków.

— Nie rozumiem.

— Ależ rozumie pan.

— Co pan chce przez to powiedzieć? Nigdy nie pracowałem dla Manuela, przynajmniej tutaj, jako szef sali, potem dzierżawca.

— Pomimo to już w południe wiedział pan, co mu się przydarzyło. Jak pan sam powiedział, w barze i w restauracji słyszy się wiele rzeczy. Co pan myśli, Pernelle, na temat kradzieży klejnotów?

— To, co się o tym pisze w gazetach: to młodziki. Wprawiają się i w końcu dają się złapać.

— Nie.

— Mówi się o jakimś starym złodzieju, który podobno podczas skoków trzyma się blisko, żeby być gotowym na każdą ewentualność.

— Co dalej?

— Nic. Przysięgam, że więcej nic nie wiem.

— No cóż! Powiem panu coś więcej, lecz nie jest to chyba dla pana nic nowego. Czym złodzieje klejnotów ryzykują najbardziej?

— Że się dadzą przyskrzynić. — W jaki sposób?

— Przy sprzedaży.

— Dobra! Zaczyna pan pojmować. Wszystkie kamienie posiadające pewną wartość mają jakby swój „stan cywilny” i są znane wśród ludzi z branży. Kiedy zostaje popełniona kradzież, rozsyła się opis klejnotów, i to nie tylko we Francji, ale również za granicą. Paser, jeżeli złodzieje znają takiego, da zaledwie dziesięć lub piętnaście procent wartości łupu. Kiedy w rok lub dwa lata później puści kamienie w obieg, policja niemal zawsze je zidentyfikuje i wyłapie całą siatkę. Zgadza się?

— Przypuszczam, że tak jest. Pan ma więcej doświadczenia ode mnie.

— Otóż już od lat klejnoty zrabowane w napadach lub włamaniach znikają i nigdy nie natrafia się na ich ślad. Co to może oznaczać?

— A skąd mam wiedzieć?

— Dalej. Pernelle. Nikt nie wykonuje pańskiego zawodu przez trzydzieści czy czterdzieści lat nie wiedząc, co jest grane, nawet jeśli sam nie przykłada do tego ręki.

— Wcale nie jestem na Montmartre tak długo.

— Pierwszym środkiem ostrożności jest nie tylko wyjęcie kamieni z oprawy, ale także przerobienie ich, co wymaga współdziałania szlifierzz diamentów. Czy pan zna jakiegoś?



— Nie.

— Niewielu ludzi ich zna z tego prostego powodu, że są oni nieliczni, nie tylko we Francji, ale i na świecie. W Paryżu jest ich nie więcej niż pięćdziesięciu, zgrupowanych mniej więcej w dzielnicy Marais, w okolicach ulicy Francs–Bourgeois i stanowią mały, bardzo zamknięty światek. Poza tym pośrednicy, sprzedawcy diamentów i wielcy jubilerzy, powierzający im pracę, mają ich na oku.

— Nie pomyślałem o tym.

— Bez żartów!

Ktoś zapukał do drzwi. Był to barman, który podał Maigretowi kawałek papieru.

— Właśnie przyniesiono to dla pana.

— Kto?

— Chłopak ze sklepu tytoniowego na rogu.

Lapointe napisał ołówkiem na kartce z notatnika:

*Wszedł do kabiny, żeby zatelefonować. Przez szybę widziałem, że prosił Etoile 42–39. Nie jestem pewien ostatniej cyfry. Usiadł w kącie i czyta gazetę. Zostaje.*

— Pozwoli pan, że skorzystam z jednego z pańskich aparatów? A propos, dlaczego ma pan dwie linie?

— Mam tylko jedną. Drugi aparat jest połączony jedynie z restauracją.

— Halo! Informacja? Mówi komisarz Maigret z Policji Kryminalnej. Chciałbym się natychmiast dowiedzieć, do jakiego abonenta należy numer Etoile 42–39. Ostatnia cyfra jest wątpliwa. Trzeba poczekać? Długo? Niech pani będzie tak miła i oddzwoni do mnie.

— Teraz — powiedział do Pernelle'a — chętnie wypiję szklankę piwa.

\* \* \*

— Jest pan pewien, że nie wie pan więcej o panu Louisie niż mi pan powiedział?

Pernelle wahał się, zdając sobie sprawę, że rzecz staje się poważna.

— Osobiście go nie znam. Widuję go przy barze. Zdarza mi się obsługiwać go, kiedy nie ma Justina, i zamienić z nim parę słów o pogodzie.

— Nigdy nie jest w towarzystwie?

— Rzadko. Widziałem go kilka razy z młodymi facetami i nawet się zastanawiałem, czy nie jest pederastą.

— Nie zna pan ani jego nazwiska, ani adresu?

— Zawsze słyszałem, jak go nazywano z szacunkiem panem Louisem. Musi mieszkać w tej dzielnicy, bo nigdy nie przyjeżdża samochodem...

Zadzwoił telefon. Maigret podniósł słuchawkę.

— Komisarz Maigret? Wydaje mi się, że mam informację, której pan sobie życzy! — powiedziała telefonistka. — Numer Etoile 42–39 zawiesił swój abonament pół roku temu z powodu wyjazdu za granicę. Abonent mający numer Etoile 42–38 nazywa się Fernand Barillard i mieszka...

Komisarz znalazł ciąg dalszy. Przedstawiciel firmy sprzedającej luksusowe opakowania, mieszkający na tym samym piętrze co Palmari!

— Dziękuję pani.

— Nie chce pan poprzedzających numerów?

— Na wszelki wypadek...

Nazwiska i adresy byty mu nie znane. Maigret ciężko wstał, ospały z powodu gorąca i męczącego dnia.

— Proszę się zastanowić nad tym, co panu powiedziałem, Pemelle. Teraz, kiedy jest pan na własnym rozrachunku i kieruje pan dobrze prosperującym lokalem, nie warto mieć kłopotów, prawda? Jestem przekonany, że wkrótce znów pana odwiedzę. Jedna rada: proszę za dużo nie mówić, przez telefon albo inaczej, o rozmowie, którą właśnie odbyliśmy. A propos, luksusowe opakowania, czy to panu nic nie mówi?

Nowy właściciel „Złotego Gwoźdźca” spojrział na niego ze zdziwieniem, które nie było udawane.

— Nie rozumiem.

— Niektórzy producenci tektury specjalizują się w bombonierkach, rożkach na drażetki itd. Otóż wśród tych „itd.” można umieścić pudełka, których używa się w jubilerstwie zamiast szkatulek.

Zszedł po ciemnych i brudnych schodach, przemierzył restaurację, w której siedziała teraz w kącie jakaś para, zaś przy jednym ze stolików jedli kolację czterej podchmieleni goście.

Dotarł ulicą aż do sklepu tytoniowego, w którym mieścił się bar, spostrzegł Lapointe’a, siedzącego grzecznie nad aperitifem, w kącie zaś pana Louisa, czytającego wieczorną gazetę. Żaden z nich go nie zauważył. W kilka minut później komisarz wsiadł do taksówki.

— Na Akacjową, róg ulicy Łuku Triumfalnego.

Niebo pokrywało się krwistą czerwienią, nadając podobną barwę twarzom przechodniów. Powietrze stało nieruchomo, toteż Maigret czuł, że koszula przylepia mu się do ciała. Podczas jazdy zdawał się drzemać i być może naprawdę drzemał, gdyż podskoczył na dźwięk głosu szofera, wołającego:

— Jesteśmy na miejscu, szefie.

Podniósł głowę, by zmierzyć wzrokiem budynek z jasnej cegły z oknami obramowanymi białym kamieniem. Dom został zbudowany zapewne około roku 1910. Winda zawiozła go na czwarte piętro i z przyzwyczajenia omal nie zadzwonił do drzwi po lewej stronie.

Przed tymi z prawej strony kazano mu czekać przez jakiś czas, po czym otworzyła mu wreszcie ta sama blondynka, którą przesłuchiwał po południu, z pełnymi ustami, z serwetką w dłoni.

— To znowu pan! — zauważyła ze zdziwieniem. — Mój mąż i ja właśnie jemy kolację.

— Chciałbym z nim zamienić parę słów.

— Proszę wejść.

Salon przypominał ten z mieszkania naprzeciwko, tyle że był mniej luksusowy i miał bardziej pospolity dywan. Następnie wchodziło się nie do czegoś w rodzaju klitki, jak u Palmarięgo, lecz do mieszczącej jadalni z meblami w stylu ludowym.

— Fernandzie, to komisarz Maigret.

Z krzesła podniósł się mężczyzna około czterdziestki, z serwetką w ręce, z rozwiązany krawatem, z rozpiętym kołnierzykiem od koszuli.

— Jestem zaszczycony — mruknął, spoglądając kolejno to na żonę, to na gościa.

— Komisarz był tu już dziś po południu. Nie miałam czasu ci o rym powiedzieć. Z powodu tego lokatora, który umarł, zrobił obchód całego domu, dzwoniąc do wszystkich drzwi.

— Niech państwo dalej jedzą kolację — rzekł Maigret. — Mam dużo czasu.

Na stole stała pieczeń cielęca i kluski w sosie pomidorowym. Małżeństwo wróciło na swoje miejsca nie bez pewnego skrępowania, podczas gdy komisarz usiadł na końcu stołu.

— Wypije pan kieliszek wina?

Świeżo wyjęta z lodówki karafka z białym winem była zmrożona, toteż Maigret nie mógł się oprzeć. Nie pomylił się, gdyż było to przednie wino z Sancerre, wytrawcie, o smaku świeżych owoców, które z pewnością nie zostało kupione w sklepie kolonialnym.

Kiedy państwo Barillard wrócili do jedzenia pod roztertowanym spojrzeniem swego gościa, zapadło kłopotliwe milczenie.

— Wszystko, co mogłam mu powiedzieć to było to, że nie znaleźliśmy tego Palmariego. Co do mnie, nigdy go nie widziałam i jeszcze dziś rano nie znałam nawet jego nazwiska. Jeśli chodzi o kobietę...

Mąż pani Barillard był przystojnym, szczupłym i umięśnionym mężczyzną. Musiał mieć powodzenie u kobiet, jego wąsy zaś podkreślały pożądlive usta i zęby bez skazy, widoczne przy najłżejszym uśmiechu.

— A ty ich znasz?

— Nie. Ale pozwól mówić komisarzowi. Słucham pana, panie Maigret.

Wyczuwało się u niego jakąś ironię, wyraźną agresywność. Był to piękny, pewny siebie, chętny do rozróby samiec, który nie wątpił ani we własny urok, ani we własną siłę.

— Proszę najpierw skończyć posiłek. Niezle się pan dzisiaj najeździł?

— Objechałem dzielnicę Lilas.

— Samochodem?

— Samochodem, oczywiście. Mam peugeota 404, z którego jestem bardzo zadowolony. Taki wóz dodaje mi powagi, W moim zawodzie właśnie to się liczy.

— Jak przypuszczam, nosi pan ze sobą walizkę z próbkami?

— Tak jak moi koledzy, rzecz jasna.

— Kiedy pan skończy jeść te owoce, poproszę o pokazanie mi jej.

— To dość nieoczekiwana ciekawość?

— To zależy od punktu widzenia, jaki się obiera.

— Mogę spytać, czy wyrażał pan podobne życzenia także na innych piętrach tego domu?

— Jeszcze nie, panie Barillard. Dodam, że ma pan prawo nie spełnić mojej prośby i że w takim przypadku zatelefonuję do niezwykle sympatycznego sędziego śledczego, który przyśle mi przez posłańca nakaz rewizji, a w razie potrzeby nakaz aresztowania. A może woli pan, żebyśmy kontynuowali tę rozmowę w moim biurze przy Quai des Orfèvres?

Maigret nie omieszkiał zauważyć dość wyraźnej różnicy w zachowaniu małżonków. Kobieta wytrzeszczyła oczy, zaskoczona tonem, jaki przybrała nagle konwersacja oraz nieoczekiwaną dla niej postawę obu mężczyzn. Kładąc dłoń na rękę męża, zapytała:

— Co się dzieje, Fernandzie?

— Nic, moja mała. Nie martw się. Wkrótce komisarz Maigret mnie przeprosi. Kiedy policja staje przed zbrodnią, która ją przerasta, ma skłonność do nerwowych ruchów.

— Czy to pani niecałą godzinę temu odebrała telefon? Odwróciła się do męża jakby pytając, co odpowiedzieć, on jednak, nie patrząc na nią, zdawał się obserwować komisarza, usiłując odgadnąć, do czego ten zmierza.

— To ja odebrałem telefon.

— Od przyjaciela?

— Od klienta.

— Producenta czekolady? Cukiernika? Producenta perfum? To jest pańska klientela, prawda?

— Jest pan dość dobrze poinformowany.

— Chyba że chodzi o jakiegoś jubilera? Panie Barillard, czy mogę pana prosić o podanie mi jego nazwiska?

— Przyznam, że go nie zapamiętałem, bo ta sprawa mnie nie zainteresowała.

— Doprawdy? Klient, który dzwoni do pana po godzinach pracy. W takim razie czego chciał od pana?

— Bieżących cen.

— Od dawna pan zna pana Louisa?

Cios był celny. Piękny Fernand zmarszczył brwi i nawet jego żona zauważyła, że nagle poczuł się mniej swobodnie.

— Nie znam pana Louisa. A teraz, jeżeli pan uważa za konieczne ciągnąć tę rozmowę, przejdźmy do mojego biura. Wyznaję zasadę niemieszania kobiet do interesów.

— Kobiet?

— Mojej żony, jeśli pan woli. Pozwolisz, kochanie? Poprowadził Maigreta do przyległego pokoju, mającego mniej więcej te same wymiary co kłitka Palmarięgo i dość wygodnie urządzonego. Okna wychodziły na podwórze i było tam ciemniej niż w innych pokojach, wobec czego Barillard zapalił lampy.

— Proszę usiąść, jeżeli pan chce, a skoro tak trzeba, słucham pana.

— Powiedział pan właśnie dosyć zabawne zdanie.

— Proszę mi wierzyć, że nie jest moim zamiarem zabawiać pana. Moja żona i ja zaplanowaliśmy kino na dzisiejszy wieczór, a przez pana stracimy początek filmu. Więc co takiego zabawnego powiedziałem?

— Że wyznaje pan zasadę niemieszania kobiet do interesów.

— Nie jestem odosobnionym przypadkiem.

— Wkrótce do tego wrócimy. W każdym razie, jeśli chodzi o panią Barillard, jestem gotów panu uwierzyć. Od dawna pan jest żonaty?

— Od ośmiu lat.

— Już wtedy wykonywał pan ten sam zawód co dzisiaj?

— Mniej więcej.

— Z jaką różnicą?

— Zajmowałem się produkcją w fabryce tektury w Fontenay-sous-Bois.

— Mieszkał pan w tym budynku?

— Mieszkałem w domku w Fontenay.

— Obejrzyjmy tę walizkę z próbkami.

Stała na parkiecie z lewej strony drzwi i Barillard niechętnie postawił ją na biurku.

— A kluczyk?

— Nie jest zamknięta.

Maigret otworzył ją i zgodnie z własnymi przewidywaniami wśród luksusowych pudełek, niemal wszystkich gustownie ozdobionych, znalazł też pudełko, w które jubilerzy pakują zegarki i biżuterię sprzedawaną bez szkatułek.

— Ile sklepów jubilerskich pan dzisiaj odwiedził?

— Nie wiem. Trzy lub cztery. Zegarmistrzowie i jubilerzy stanowią zaledwie część naszej klienteli.

— Czy notuje pan, do których domów handlowych pan zagląda?

Fernand Barillard zachnął się po raz drugi.

— Nie mam duszy księgowego ani statystyka. Zadowolam się zapisywaniem zamówień.

— I oczywiście zachowuje pan kopie zaksięgowanych zamówień dla pańskiej firmy?

— Być może tak by postępowali inni. Ja mam zaufanie do moich szefów i nie zawracam sobie głowy nadmiarem papierzysk,

— Do tego stopnia, że nie może mi pan przedstawić listy pańskich klientów?

— Rzeczywiście nie mogę.

— Dla jakiej firmy pan pracuje?

— Dla „Gelota i syna”, przy alei Gobelinów.

— Ich księgowość powinna być prowadzona lepiej niż pańska, więc złożę im wizytę jutro rano.

— Zechce mi pan wreszcie powiedzieć, do czego pan zmierza?

— Najpierw jedno pytanie. Utrzymuje pan, że nigdy nie miesza kobiet do interesów, prawda?

Barillard, który zapalał właśnie papierosa, wzruszył ramionami.

— Nawet jeśli ta kobieta ma na imię Aline i mieszka z panem drzwi w drzwi?

— Nie wiedziałem, że ma na imię Aline.

— A jednak od razu pan wiedział, o kim mówię.

— Jest tylko jedno mieszkanie naprzeciwko naszego, a tam, o ile wiem, jedna kobieta. Zdarzyło mi się ją minąć na schodach, jechać razem windą, kłaniać jej się uchylając kapelusza, ale nie przypominam sobie, żebym powiedział do niej choć słowo. Może przy okazji mruknąłem coś, przytrzymując jej drzwi do windy: „Proszę, niech pani wejdzie...”, czy coś takiego.

— Czy pańska żona o tym wie?

— O czym?

— O wszystkim. O pańskiej działalności handlowej. O rozmaitych rodzajach pańskiej działalności. O kontaktach z panem Louistem.

— Już powiedziałem, że nie znam żadnego pana Louisa.

— Mimo to godzinę temu uprzedził pana przez telefon, że prowadziłem dochodzenie przy ulicy Fontaine i częściowo streścił panu moją rozmowę z właścicielem „Złotego Gwoźdźca” i barmanem.

— Co pan chce, żebym powiedział?

— Nic. Jak pan widzi, to ja mówię. Czasami lepiej jest postępować otwarcie, odkryć karty przed przeciwnikiem. Mógłbym poczekać, aż spotkam pańskich pracodawców i przesłucham księgowego z ulicy Gobelinów. Nie mogą z dnia na dzień sfalszować ksiąg, żeby pana wyciągnąć z kłopotów. A pan doskonale wie, co tam znajduje.

— Nazwiska, adresy i cyfry. Tyle i tyle pudełek Pompadour po sto pięćdziesiąt franków za tuzin. Tyle i tyle...

— Tyle i tyle szkatulek po tyle za tuzin lub za sto sztuk.

— I co z tego?

— Proszę sobie wyobrazić, panie Barillard, że ja posiadam listę sklepów jubilerskich, które zarówno w Paryżu, jak i na przedmieściach, od iluś tam lat były przedmiotem poważnych kradzieży, czy to w wyniku napadu, czy też, jak to się działo ostatnio, wybicia szyby łyżką do opon. Zaczyna pan rozumieć? Mam niemal całkowitą pewność, że na liście pańskich klientów, którą dostarczy mi firma „Gelot i syn”, znajdę mniej więcej wszystkie nazwiska z mojej własnej listy.

— A gdyby tak było? Zważywszy, że odwiedzam większość miejscowych sklepów jubilerskich z wyjątkiem dużych domów handlowych, które stosują wyłącznie szkatułki safianowe, to normalne...

— Nie sądzę, żeby taka była opinia sędziego śledczego, zajmującego się sprawą Palmariego.

— To mój sąsiad z piętra zajmował się biżuterią?

— Na swój sposób. A od trzech lat, odkąd został inwalidą, za pośrednictwem kobiety.

— To dlatego przed chwilą mnie pan zapytał, czy...

— Rzeczywiście. A teraz pytam pana, czy jest pan kochankiem Aline Bauche i od kiedy.

To był odruch. Mężczyzna mimowolnie rzucił okiem na drzwi, po czym na palcach podszedł i uchylił je, by upewnić się, że jego żona nie podsłuchuje.

— Gdyby rozmawiał pan tak ze mną w jadalni, myślę, że dałbym panu w twarz. Nie ma pan większego prawa niż ktokolwiek inny do rzucania podejrzeń na małżonków.

— Nie odpowiedział mi pan.

— Mówię, że nie.

— I nadal pan nie zna pana Louisa?

— I nie znam pana Louisa.

— Pozwoli pan?

Maigret wyciągnął rękę w stronę aparatu telefonicznego, wykręcił numer mieszkania naprzeciwko, rozpoznał głos Lucasa.



— Co porabia twoja klientka?

— Przez jakiś czas spała, potem zdecydowała się na zjedzenie plasterka szynki i jajka. Staje się nerwowa, chodzi po pokojach dużymi krokami, patrzy na mnie morderczym wzrokiem za każdym razem, kiedy mnie mija.

— Nie próbowała telefonować?

— Nie. Jestem bardzo czujny.

— Nikt nie przyszedł?

— Nikt.

— Dziękuję ci. Będę u niej za kilka minut. Mógłbyś zaraz zadzwonić do Komendy, żeby nam jeszcze kogoś przysłali? Tutaj, tak... Wiem, że Bonfils jest na dole. Chciałbym kogoś dodatkowego, komu przekazesz następujące polecenie; niech weźmie samochód i postawi go przed wejściem i mech nie spuszcza oka z drzwi. Chodzi o to, żeby śledzić niejakiego Fernanda Barillarda, przedstawiciela handlowego, mieszkającego w mieszkaniu naprzeciw tego, w którym się znajdujesz, gdyby zamierzał wyjść, sam albo w towarzystwie żony... Tak, jestem gotów. Niech założą podsłuch na jego linii. Rysopis Barillarda: około czterdziestki, metr siedemdziesiąt pięć, gęste ciemne włosy, mały ciemny wąsik, pewna elegancja, typ mężczyzny podobającego się kobietom. Jego żona, w razie gdyby mu towarzyszyła, jest od niego młodsza o jakieś dziesięć lat, blondynka, apetyczna, raczej pulchna. Zostanę tutaj dopóki następny inspektor nie zjawi się na dole. Do zobaczenia, stary.

Podczas gdy mówił, przedstawiciel handlowy spoglądał nań z nienawiścią.

— Przypuszczam — zapytał niemal ze słodyczą Maigret — że nadal nie ma mi pan nic do powiedzenia?

— Absolutnie nic.

— Mojemu inspektorowi przyjazd tutaj zajmie jakieś dziesięć minut. Mam zamiar dotrzymać panu tymczasem towarzystwa.

— Jak pan sobie życzy.

Barillard usiadł w skórzanym fotelu, wziął z nocnego stolika jakieś czasopismo i przybrał minę jakby zatopił się w lekturze. Z kolei Maigret wstał i począł szczegółowo oglądać pokój, odczytując tytuły książek w biblioteczkach, podnosząc przycisk do papieru, uchylając szuflady biurka.

Dla handlowca były to długie chwile. Niekiedy znad czasopisma rzucał okiem na tego grubego, pogodnego człowieka, który zdawał się wypełniać całe biuro swoją masą, rozgniatać je swym ciężarem i z którego twarzy nie dało się odgadnąć żadnej myśli.

Od czasu do czasu komisarz wyjmował z kieszeni zegarek, jako że nie przyzwyczał się nigdy do zegarków na rękę i starannie przechowywał odziedziczony po ojcu złoty czasomierz z podwójną kopertą.

— Jeszcze cztery minuty, panie Barillard,

Tamten zmuszał się do milczenia, jego ręce jednak zaczynały zdradzać zniecierpliwienie.

— Trzy minuty.

Powstrzymywał się z córa? większym trudem.

— No, nareszcie! Życzę panu dobrej nocy i mam nadzieję, że nasze kolejne spotkanie będzie równie serdeczne jak to.

Maigret wyszedł z gabinetu i zastał w jadalni młodą kobietę z zaczerwienionymi oczyma.

— Mój mąż nie zrobił nic złego, prawda, panie komisarzu?

— To jego należy o to spytać, kochana pani. Pragnę, żeby tak było ze względu na panią.

— Pomimo swego wyglądu to człowiek bardzo łagodny, bardzo czuły. Czasem jest w gorącej wodzie kąpany, takie ma usposobienie, ale zawsze pierwszy żałuje wybuchów złości.

— Dobranoc pani.

Odprowadziła go z niepokojem w oczach i ujrzała, jak kieruje się nie do windy, lecz do drzwi naprzeciwno.



## V

Maigretowi, bardziej pogodnemu niż kiedykolwiek, otworzyła drzwi zdenerwowana Aline, patrząca nieruchomym i przenikliwym wzrokiem; oczy miała podkrążone. Komisarz przybrał dobroduszny wyraz twarzy, który jego podwładni dobrze znali i na który nie dawali się nabrać.

— Nie chciałem opuścić budynku, nie życząc pani nocy tak dobrej, jak to tylko możliwe.

Siedzący w fotelu Lucas położył na dywanie czasopismo, które właśnie czytał, i podniósł się leniwie. Nietrudno było się domyślić, że pomiędzy dwojgiem ludzi, którzy spędzili ze sobą wiele godzin zamknięci w mieszkaniu i którzy mieli tam zostać aż do rana, nie było serdeczności.

— Nie sądzi pani, Aline, że lepiej by pani zrobiła, kładąc się? Nie brak pani było dzisiaj wrzuseń Obawiam się, że jutrzejszy dzień będzie tak samo, albo nawet bardziej, męczący. Nie ma pani w apteczce jakiegoś środka nasennego lub uspokajającego?

Spoglądała nań twardym wzrokiem, zastanawiając się o czym mógł myśleć i czując wściekłość na widok komisarza, który pozostawał nieprzenikniony.

— Jeżeli chodzi o mnie, to wiele się dowiedziałem od dzisiejszego poranka, ale muszę jeszcze sprawdzić pewne rzeczy, zanim opowiem pani o moich odkryciach. Właśnie dziś wieczorem poznałem dosyć oryginalnego człowieka, który jest pani sąsiadem z piętra. Początkowo pomyliłem się co do niego, biorąc go za zwykłego przedstawiciela firmy produkującej pudełka dla cukierników i wytwórców czekolady. Okazuje się, że jego działalność jest dużo szersza i obejmuje w szczególności świat biżuterii.

Nie spieszył się; w zamyśleniu nabijał fajkę.

— Przez to wszystko nie zdążyłem jeszcze zjeść kolacji. Mam nadzieję, że panu Louisowi wystarczy cierpliwości, żeby zaczekać na mnie „Pod Złotym Gwoździem” i że będziemy mogli zjeść razem.

Znowu cisza. Napchał tytoniu do fajki pomagając sobie kciukiem, wyjął wystające źdźbło, wreszcie zapalił zapalniczkę, podczas gdy Aline śledziła jego zbyt staranne ruchy z rosnącą niecierpliwością.

— Przystojny mężczyzna z tego Fernanda Barillarda. Zdziwiłbym się, gdyby zadowolili się jedną kobietą, zwłaszcza że jego żona wydaje mi się dla niego za blada. A co pani o tym myśli?

— Nie znani go.

— Oczywiście, że właścicielka budynku nie może być w zażyłych stosunkach ze wszystkimi lokatorami. Zwłaszcza jeśli nie test to jedyny dom, jaki pani posiada. Dowiem się tego jutro na spotkaniu u notariusza Desgrieres. Ta sprawa jest tak skomplikowana, Aline, że chwilami mam wrażenie, iż tracę grunt pod nogami. Na wszelki wypadek postawiłem na dole mojego człowieka. Może się przydać, gdyby Barillard miał ochotę wyjść. Co do jego telefonu, to, podobnie jak pani telefon, już jest na podsłuchu. Sama pani widzi, że grzecznie ją ostrzegam. Jest pani pewna, że nie ma mi nic do powiedzenia?

Aline zacisnęła usta i mechanicznym krokiem wyszła do sypialni, trzaskając za sobą drzwiami.

— Szefie, wszystko co pan powiedział, to prawda?

— Mniej więcej. Dobranoc. Spróbuj nie spać. Zrób sobie tyle mocnej kawy, ile ci będzie potrzeba, a jeżeli się cokolwiek wydarzy, zadzwoń do mnie na bulwar Richard-Lenoir. Nie wiem, o której godzinie tam będę, ale jestem zdecydowany się przespać.

Zamiast pojechać windą, powoli zszedł po schodach, wyobrażając sobie życie lokatorów, w miarę jak mijał ich drzwi. Niektórzy oglądali telewizję: w wielu mieszkaniach słychać było

te same głosy i tę samą muzykę. U Mabel Tupler tupanie wskazywało na to, że tańczy tam jedna bądź dwie pary.

Inspektor Lagrume drzemał za kierownicą samochodu policyjnego. Maigret obudził go.

— Nie ma pan auta, szefie?

— Złapię taksówkę w alei Grande-Armée. Wiesz, co masz robić?

— Śledzić faceta — Fernanda Barillarda.

Maigret czuł się mniej lekki niż po przebudzeniu rano w rozedrganym od słońca mieszkaniu albo kiedy stojąc na platformie autobusu napawał się widokami Paryża, kolorowego niczym album dla dzieci.

Ludzie z uporem maniaka wypytywali go o jego metody. Niektórzy uważali nawet, że są zdolni je przeanalizować, on zaś patrzył na nich z drwiącą ciekawością, ponieważ wiedzieli więcej od niego. Sam najczęściej improwizował, wiedziony instynktem.

Prefektowi na pewno nie podobałoby się to, co komisarzowi dyktował tego dnia instynkt, natomiast mały sędzia śledczy, pomimo swego podziwu, zapewne zmarszczyłby brwi.

Na przykład przed przesłuchaniem Fernanda Barillarda Maigret powinien był zebrać jak najwięcej informacji na jego temat, zgromadzić akta, mieć w ręku daty, które, był tego pewien, znalazłby u „Gelota i syna”, oraz poznać bliższe szczegóły, których dostarczyłby mu ewentualnie mecenas Desgrieres.

Wolał jednak wzbudzić niepokój u przedstawiciela handlowego, ostrzec go, wcale przed nim nie ukrywając, że jest pilnowany.

Przez chwilę pomyślał, by nic nie mówić Aline i nazajutrz zaskoczyć ją konfrontując z sąsiadem z piętra i śledząc jej reakcje.

Ostatecznie zagrał zupełnie odwrotnie i już od tego momentu wiedziała, że ustalił związek pomiędzy nią a przedstawicielem firmy produkującej tekturowe pudełka.

Oboje byli pod obserwacją. Nie mogli się ani spotkać, ani skontaktować przez telefon, ani też wyjść z domu i nie być śledzonym.

Czy w tych warunkach mogli spokojnie spać? Maigret postąpił tak samo z panem Louisem, dając mu do zrozumienia, że od tej pory policja będzie rejestrowała wszystko, cokolwiek zrobi.

Nie można było jeszcze ustalić powiązań pomiędzy tymi trzema osobami. Upodabniał je do siebie jedynie niepokój, który Maigret starał się uczynić jak najbardziej dręczącym dla każdego z nich.

— Do „Złotego Gwoździa”, ulica Fontaine.

Tam również wyłożył wszystkie lub prawie wszystkie karty na stół. Skoro i tak musiał gdzieś zjeść kolację, równie dobrze mógł wybrać właśnie tę restaurację, której właścicielem był długo Palmari, nim przepisał ją na nazwisko Aline, a później odstąpił Pernelle'owi.

W „Złotym Gwoździu” zaskoczyła go panująca tu ożywiona atmosfera. Niemal wszystkie stoliki były zajęte, słychać było szum rozmów, przerywany kobiecym śmiechem, dym z cygar i papierosów tworzył ciemną chmurę na wysokości jednego metra pod sufitem.

W różowym świetle lamp spostrzegł pana Louisa, siedzącego naprzeciwko jakiejś ładnej dziewczyny, zaś Lapointe mordował się przy barze nad sokiem z cytryny.

Pernelle z zawodowym uśmiechem krążył pomiędzy stolikami, ściskając ręce gości, pochylając się ku nim, żeby opowiedzieć dykteryjkę bądź przyjąć zamówienie, które przekazywał jednemu z kelnerów.

Dwie kobiety, siedzące na wysokich stoikach przy barze, siliły się na kokieterię wobec Lapointe'a, który, zażenowany, usiłował patrzeć w inną stronę.

Na widok Maigreta jedna z nich pochyliła się nad koleżanką, zapewne by jej szepnąć:

— To glina!

Tak więc, gdy komisarz zbliżył się do inspektora, ten stracił w oczach obydwu pańnek wszelkie znaczenie.

— Jadłeś kolację?

— Zjadłem kanapkę w sklepie tytoniowym z barem, gdzie pan Louis spędził ponad godzinę. Potem przyszedł tutaj i czekał na tę młodą kobietę, żeby zasiąść przy stole.

— Nie jesteś za bardzo zmęczony?

— Nie.

— Chciałbym, żebyś nadal go śledził. Kiedy wróci do siebie, zadzwoń do Komendy, aby cię ktoś zmienił. Tak samo, jeżeli pójdzie do dziewczyny, co jest możliwe, albo jeżeli zabierze ją do hotelu. Zrobisz lepiej, jeśli przekąsisz coś razem ze mną.

— Może piwo, panie Maigret?

— Trochę za późno, Justin. Już wyczerpałem mój limit na dzisiaj.

Dał znak Pernelle'owi, który znalazł dla nich mały stolik oświetlony złotą lampką z jedwabnym abażurem.

— Dziś wieczorem polecam paellę. Mogą panowie zacząć od sałatki nicejskiej. Do tego bardzo wytrawny Tavel, chyba że panowie wolą Pouilly fumé\*.

— Niech będzie paella i Tavel.

— Dwa nakrycia?

Maigret skinął potakująco głową. Potem, podczas posiłku, sprawiał wrażenie zajętego wyłącznie jedzeniem i winem o pysznym smaku świeżych owoców. Z kolei pan Louis udawał, że obchodzi go jedynie jego towarzyska, która bez wątpienia powróciła do sprawy policjantów ze dwa lub trzy razy i z pewnością zadawała pytania na ich temat.

— Im dłużej na niego patrzę — westchnął komisarz — tym większą mam pewność, że go znam. Tu było dawno temu, może dziesięć lat, może więcej. Możliwe, że miał ze mną do czynienia, kiedy był młody i szczupły i że jego obecna otyłość wprowadza mnie w błąd.

W chwili płacenia rachunku Pernelle skłonił się z zadowoloną miną i zdążył szepnąć Maigretowi do ucha:

— Po pańskim wyjściu przypomniał mi się jeden szczegół. Jakiś czas temu krążyły słuchy, że Palmari jest właścicielem pewnego hotelu przy ulicy Gwiazdy. Wtedy był to dom schadzek, hotel „Bussiére” albo „Bessière”.

Maigret zapłacił, sprawiając wrażenie, jakby go to nie zainteresowało.

— Jadę, Lapointe — mruknął chwilę później. — Nie spodziewam się zabawić tam długo. Powodzenia.

Pan Louis odprowadził go wzrokiem aż do drzwi.

Jakaś taksówka krążyła w poszukiwaniu pasażera. W dziesięć minut później Maigret wysiadł z samochodu naprzeciw hotelu „Bussiére”, mieszczącego się mniej niż sto metrów od komisariatu policji, co nie przeszkadzało dwóm czy trzem dziewczynom wystawać na chodniku w nader oczywistych zamiarach.

— Idziesz?

Pokręcił przecząco głową, znalazł nocnego portiera za okienkiem, oddzielającym korytarz od małego pokoiku, w którym można było dostrzec owalne biurko, tablicę z kluczami i łóżko polowe.

— Na noc? Pan sam? Nie ma pan bagaży? W takim razie muszę pana prosić o zapłacenie z góry. Trzydzieści franków plus dwadzieścia procent za obsługę.

Podsunał komisarzowi zeszyt.

— Nazwisko, adres, numer paszportu lub dowodu tożsamości. Proszę tu wpisać.

Gdyby Maigret przyprowadził ze sobą dziewczynę, uniknąłby tych formalności. Po pułapce, którą na niego zastawiono dwa tygodnie temu i która o mały włos nie przysporzyła mu wcześniejszej emerytury, wolał się nie kompromitować.

---

\* Pouilly fumé — białe wino o szarawym odcieniu (przyp. tłum.).

Napisał swoje nazwisko, adres, numer dowodu, pomijając zawód. Otrzymał klucz, zaś źle ogolony portier nacisnął guzik dzwonka, co wywołało brzęczenie gdzieś na górze.

Zamiast pokojówki na pierwszym piętrze przywitał go mężczyzna w koszuli i białym fartuchu. Wziął od niego klucz i spojrzał z posępną miną na wyryty tani numer.

— Czterdzieści dwa? Proszę za mną.

Hotel nie miał windy, co tłumaczyło zły humor pokojowca. W drugo- i trzeciorzędnych zakładach nocny personel składa się często z niezbyt zachwycających przedstawicieli ludzkiego gatunku i bez trudu można by nimi zaludnić prawdziwy jarmark cudów.

Tutejszy chłopak kulał, zaś jego twarz o krzywym nosie miała wstrętny żółty kolor, przywodzący na myśl zrujnowaną wątrobę.

— Te schody! Ciągle te schody! — mówił do siebie po cichu. — Cholerny burdel!

Na czwartym piętrze poszedł naprzód wąskim korytarzem, po czym zatrzymał się przed numerem czterdziestym drugim.

— Jest pan na miejscu. Przyniosę panu ręczniki.

W pokojach bowiem nie było ręczników — klasyczna sztuczka, skłaniająca do napiwków pomimo dwudziestoprocentowej opłaty za obsługę.

Chłopak udał następnie, że upewnia się, czy niczego nie brakuje i wreszcie jego wzrok spoczął na pięćdziesięciofrankowym banknocie, który Maigret trzymał ostentacyjnie w dwóch palcach.

— Chce pan powiedzieć, że to dla mnie?

Stał się nieufny, nie potrafił jednak ukryć błysku w oczach.

— Chce pan ładnej dziewczyny? Nie znalazł pan na dole tego, czego pan szuka?

— Proszę na chwilę zamknąć drzwi.

— No, ale mam nadzieję, że nie ma pan żadnej ukrytej myśli? To dziwne; zdaje mi się, że znam pańską twarz.

— Może ktoś jest do mnie podobny? Zawsze pan pracuje w nocy?

— Nie ja. Jeżeli chodzę na noc co drugi tydzień, to tylko dlatego, że muszę się leczyć w przychodni.

— Zdarza się więc panu pracować w dzień i w ten sposób zna pan stałych klientów?

— Są tacy, których się zna, inni są tu tylko chwilowo.

Jego małe, przekrwione oczka wędrowały od banknotu do twarzy komisarza, czoło zaś przedzielała mu zmarszczka, zdradzająca ciężki wysiłek myślenia.

— Chciałbym wiedzieć, czy pan zna tę kobietę.

Maigret wyjął z kieszeni zdjęcie Aline Bauche, które kazał zrobić bez jej wiedzy wiele miesięcy temu.

— Zastanawiam się, czy zdarza jej się tu przychodzić w męskim towarzystwie.

Pokojowiec zaledwie rzucił okiem na fotografię i jego czoło nachmurzyło się jeszcze bardziej.

— Pan sobie kpi ze mnie?

— Dlaczego?

— To jest zdjęcie właścicielki. Przynajmniej z tego, co wiem.

— Często ją pan widuje?

— W każdym razie nigdy w nocy. Zdarza mi się ją widywać, kiedy pracuję w dzień.

— Ma pokój w hotelu?

— Pokój i salon, na pierwszym piętrze.

— Ale nie zajmuje ich regularnie?

— Powtarzam panu, że nie wiem. Raz się ją widzi, raz nie. To nie nasza sprawa i nie płacą nam, żebyśmy jej pilnowali.

— Nie wie pan, gdzie ona mieszka?

— Skąd miałbym wiedzieć?

— A jej nazwisko?  
— Słyszałem, jak dyrektorka nazywała ją panią Bauche.  
— Czy długo zostaje w czasie wizyty w hotelu?  
— Nie da się tego powiedzieć. Biuro dyrektorki, mieszczące się na parterze, łączy z apartamentem na pierwszym piętrze kręcone schody.  
— Czy można także wyjść z tego apartamentu schodami dla gości?  
— Oczywiście.  
— Proszę wziąć ten banknot. Należy do pana,  
— Pan jest z policji?  
— Być może.  
— Niech no pan powie, czy pan przypadkiem nie jest komisarzem Maigretem? Dobrze mi się zdawało, że znam pańską twarz. Mam nadzieję, że nie narobi pan kłopotów szefowej, bo wtedy ja też bym je miał.  
— Obiecuję, że pan nie będzie w to zamieszany.  
W rękach komisarza, jakby za sprawą czarów, ukazał się drugi banknot.  
— To za poprawną i szczerą odpowiedź na jedno pytanie.  
— A jakie to pytanie?  
— Czy kiedy pani Bauche, jak ją pan nazywa, znajduje się w hotelu, spotyka się z kimś poza dyrektorką?  
— Nie zajmuje się personelem, jeśli to ma pan na myśli.  
— Nie to mam na myśli. Mogłaby w swoim apartamencie przyjmować osoby z zewnątrz, które niekoniecznie wchodziłyby krętymi schodami, lecz głównymi...  
Banknot był równie kuszący jak ten pierwszy. Maigret zaś uciął wahania mężczyzny pytaniem wprost.  
— Jaki on jest?  
— Widziałem go tylko parę razy w przelocie, prawie zawsze popołudniami. Jest młodszy, szczuplejszy niż pan.  
— Ciemne włosy? Cienki, czarny wąsik? Przystojny mężczyzna?  
Pokojowiec potwierdził skinieniem głowy.  
— Z walizką?  
— Często tak. Wynajmuje pokój na pierwszym piętrze, zawsze ten sam, siódemkę, która jest najbliższej apartamentu i nigdy nie spędza tam nocy.  
Banknot zmienił właściciela. Pokojowiec wsunął go prędko do kieszeni, nie wyszedł jednak od razu, zastanawiając się być może, czy nie będzie trzeciego pytania, które warte było kolejne pięćdziesiąt franków.

\* \* \*

— Nie zgrzałeś się za bardzo? — niepokoila się pani Maigret. — Mam nadzieję, że zdążyłeś zjeść obiad i kolację i że tym razem nie zadowoliliś się kanapkami?  
— Zjadłem wyśmienitą paellę „Pod Złotym Gwoździem”. Co do obiadu, to zapomniałem. Ach, prawda, byłem w owerniackim bistro z pewnym dziwnym małym sędzią śledczym.  
Miał trudności z zaśnięciem, ponieważ osoby, które zaludniły jego dzień, przychodziły go kolejno dręczyć; na pierwszym planie znajdowała się niemal groteskowa, dziwacznie powykrzywiana, masywna postać Palmarięgo leżąca tuż obok fotela na kółkach.  
Dla sędziego Ancelina była to jedynie ofiara u progu śledztwa, które miało go zająć przez kilka tygodni. Sam Maigret znał Manuela w rozmaitych okresach jego kariery; pomimo że znajdowali się po przeciwnych stronach barykady, pomiędzy obydwojma mężczyznami wytworzyły się subtelne, trudne do określenia więzy.



Czy można powiedzieć, że komisarz darzył szacunkiem byłego właściciela „Złotego Gwoździa”? Słowo „szacunek” było zbyt mocne. Oceniając człowieka bez przesądów, doświadczony policjant nie mógł nie żywić dlań pewnego rodzaju poważania.

Podobnie od samego początku interesował się Aline, która wywoływała w nim szczególny rodzaj fascynacji. Usiłował ją zrozumieć, niekiedy myślał, że mu się to udało, po czym natychmiast podawał swą ocenę w wątpliwość.

Wreszcie dotarł do płynnego świata oddzielającego jawę od snu, sylwetki osób zatarły się, zaś jego myśli stały się bardziej zamazane, mniej wyraźne.

U podstaw leżał strach. Na jawie często dyskutował na jego temat z doktorem Pardonem, który również miał doświadczenie z ludźmi i nie był daleki od podzielenia jego wniosków.

Wszyscy się boją. Człowiek łamie sobie głowę, by rozproszyć lęk najmłodszych za pomocą bajek i niemal natychmiast, już od pójścia do szkoły, dziecko lęka się pokazać rodzicom dzienniczek zawierający złe stopnie.

Lęk przed wodą. Lęk przed ogniem. Lęk przed zwierzętami. Lęk przed ciemnością.

W wieku piętnastu bądź szesnastu lat strach, że źle się wybierze swój los, że zmarnuje się życie.

W podświadomości wszystkie te lęki stawały się jakby nutami głuchej i tragicznej symfonii: lęki uspione, które ciągniemy za sobą aż do końca, lęki przenikliwe, które każą nam krzyczeć, lęki, z których drwimy już po fakcie, lęk przed wypadkiem, chorobą, policjantem, ludźmi, przed tym, co mówią, co myślą, przed dziwnymi spojrzeniami, jakie rzucają nam w przelocie.

Niedawno, wpatrując się w kuszący banknot między palcami komisarza, chorowity pokojowiec z hotelu Bussière był rozdarty pomiędzy lękiem przed wylaniem z pracy a pokusą. Przy pojawieniu się następnego banknotu, znowu zadziałał ten sam mechanizm.

Czy nie bał się teraz nadal, że Maigret będzie mówił, że wmiesza go w jakąś aferę, której powagi się domyślał, a która wpakuje go w Bóg wie jakie kłopoty?

Również z powodu lęku Pernelle, świeżo upieczony właściciel „Złotego Gwoździa”, przyszedł szepnąć do ucha komisarza adres przy ulicy Gwiazdy. Lęku, że od tej pory będzie nękanym przez policję, lęku przed zamknięciem lokalu w imię jakiegoś niejasnego przepisu.

A czy pan Louis także się bał? Dotychczas trzymał się w cieniu, bez żadnego wyraźnego związku z Manuelem i Aline.

Aż tu nagle z kolei i jemu deptała po piętach Policja Kryminalna, a na Montmartre nie żyje się tak długo jak on, nie wiedząc co to oznacza.

Kto w tej właśnie chwili bał się bardziej: Aline czy Fernand Barillard?

Jeszcze rano nikt nie podejrzewał, że istnieje związek między dwoma mieszkaniem na czwartym piętrze. Pani Barillard beztrudno cieszyła się życiem, jako poczciwa mieszcza, którą interesuje jedynie prowadzenie domu najlepiej jak potrafi.

Czy Aline zdecydowała się wreszcie położyć? Lucas tkwił w jej mieszkaniu jak przymurowany; spokojny i zdeterminowany. Nic nie było go w stanie stamtąd ruszyć. Ona nie mogła ani wyjść, ani zadzwonić. Naraz została zdana wyłącznie na siebie, odcięta od reszty świata.

Czy nie wolałaby, aby zaprowadzono ją do Komendy Głównej, gdzie mogłaby złożyć skargę, zażądać obecności wybranego przez siebie adwokata?

Oficjalnie policja znajdowała się u niej tylko po to, by ją chronić.

Dwoje drzwi i korytarz dzieliły ją od mężczyzny, którego wielokrotnie przyjmowała w swym sekretnym apartamencie w hotelu „Bussière”.

Czy Palmari wiedział? On także przez wiele miesięcy żył mając pod domem policję, a telefon na podsłuchu; na dodatek był inwalidą.

Mimo to nadal prowadził swą działalność, kierując ludźmi za pośrednictwem Aline.



Była to ostatnia myśl Maigreta przed zapadnięciem w sen na dobre: Aline... Manuel... Aline nazywała go tatuśkiem... Ona, która wszystkim ludziom okazywała ironię i agresję, stawała się czuła wobec starego gangstera i broniła go niczym tygrysyca...

Aline... Manuel...

Aline... Fernand...

Brakowało jeszcze kogoś. Maigretowi zabrakło trzeźwości umysłu, by sobie przypomnieć, kto nie został jeszcze wymieniony. Jeden z trybów mechanizmu. Rozmawiał o nim z kimś, może z sędzią? Ważny tryb — z powodu diamentów.

Aline... Manuel... Fernand... Skreślić Manuela, skoro nie żyje... Aline... Fernand...

Każde z nich miało się w swej klatce, czekając na kolejny ruch Maigreta.

Kiedy się obudził, pani Maigret otworzyła okno na całą szerokość, po czym podała mu filiżankę kawy.

— Dobrze spałeś?

— Nie wiem. Śniło mi się dużo rzeczy, ale nie pamiętam, co. To samo słońce, co poprzedniego dnia, ta sama wesołość w powietrzu, w świergocie ptaków, w odgłosach i zapachach ulicy. Tylko Maigret był inny; nie uczestniczył już w tej radosnej pieśni rozpoczynającego się dnia.

— Wyglądasz na zmęczonego.

— Mam przed sobą ciężki dzień, muszę wziąć na siebie sporą odpowiedzialność.

Tego domyśliła się już wczoraj, gdy wrócił, jednak starała się nie zadawać mu pytań.

— Włóżysz garnitur z szarego filafilu. Jest lżejszy niż tamten.

Czy usłyszał? Machinalnie zjadł śniadanie, wychylił dwie filiżanki czarnej kawy, nie czując jej smaku. Nie podśpiewywał pod prysznicem i ubrał się z roztargnioną miną, zapominając dowiedzieć się o południowy jadłospis. Jedynym jego pytaniem było:

— A propos, czy wczorajszy homar był dobry?

— Zostało dosyć na sałatkę.

— Zawołaj mi taksówkę, dobrze?

Dziś rano żadnego autobusu, nawet z platformą. Żadnego krajobrazu, żadnych barwnych obrazów, którym pozwalał z rozkoszą przepływać przed oczyma.

— Quai des Orfèvres! Najpierw do swojego biura.

— Proszę mnie połączyć z Fernandem Barillardem... Etoile 42-38... Halo! Pani Barillard?... Mówi komisarz Maigret... Zechce pani poprosić męża... tak, czekam...

Dłonią bezwiednie przewracał piętrzące się na biurku raporty.

— Halo!... Barillard?... To znowu ja... zapomniałem wczoraj pana prosić o pozostanie przez ranek i zapewne przez cały dzień w domu... Wiem!... Wiem!... Trudno! Pańscy klienci poczekają... Nie, nie mam najmniejszego pojęcia, o której godzinie się z panem zobaczę...

Sprawozdanie Lucasa było jedynie osobistą notatką dla komisarza, oficjalny raport miał być sporządzony dopiero później.

*Nic ważnego do zakomunikowania. Spacerowała po mieszkaniu do drugiej w nocy i wiele razy, kiedy przechodziła koło mnie, zastanawiałem się, czy nie podrapie mnie zaraz po twarzy. W końcu zamknęła się w swoim pokoju i mniej więcej po półgodzinie nie słyszałem już żadnego hałasu. O ósmej, kiedy przyszedł mnie zmienić Janin, wyglądało na to, że spała. Zadzwoń do Komendy około jedenastej, żeby się dowiedzieć, czy Pan mnie nie potrzebuje.*

Raport Lapointe'a wcale nie był bardziej interesujący. Został przekazany telefonicznie o trzeciej nad ranem.

*Do oddania komisarzowi Maigretowi. Pan Louis i jego towarzyska zostali „Pod Złotym Gwoździem” do jedenastej trzydzieści. Dziewczyna nazywa się Louise Pégasse, pseudonim*

*Lulu–Torpeda, pod którym występuje pod koniec programu w lokalu ze striptizem, „Boule Verte”, przy ulicy Pigalle.*

*Pan Louis odprowadził ją tam. Poszedłem za nim i usiadłem przy stoliku blisko niego. Lulu zniknęła w wejściu dla artystów, potem pojawiła się na scenie, a po skończonym numerze usiadła przy barze, gdzie wraz z koleżankami zajmuje się zaczepianiem gości i nakłanianiem ich do konsumpcji.*

*Pan Louis nie ruszył się, nie telefonował, ani na chwilę nie wyszedł z sali.*

*Trochę przed trzecią Lulu przysłała mu szepnąć coś do ucha. Poprosił o kapelusz i jeden za drugim czekaliśmy na chodniku. Lulu wkrótce potem wyszła. Para udała się pieszo do hotelu na placu Saint–Georges: hotelu „Square”.*

*Przesłuchałem nocnego portiera. Louise Pégasse mieszka w hotelu od wielu miesięcy. Często wraca w towarzystwie mężczyzny, rzadko tego samego. Pan Louis przyszedł z nią drugi lub trzeci raz. Dzwonię z bistro, które zaraz zamykają. Wracam do roboty.*

— Janvier! Gdzie jest Janvier? Nie przyszedł jeszcze?

— Jest w toalecie, panie komisarzu. Wszedł Janvier.

— Wyślij kogoś pod hotel „Square” na plac Saint–Georges, żeby zmienił Lapointe’a, który musi być wykończony. Jesh nie ma nic nowego do zakomunikowania, niech idzie spać i niech zadzwoni pod wieczór. Możliwe, że wtedy będzie mi potrzebny.

Na poranną odprawę komisarz dotarł jako ostatni. Mrugano porozumiewawczo w jego kierunku, ponieważ przybrał minę charakterystyczną dla wielkich dni: uparty wyraz twarzy, zaś wojowniczo sterczącą fajkę tak mocno ścisnął szczękami, że kilka razy zeskoczył z niej ebonitowy koniec.

— Proszę mi wybaczyć, panie dyrektorze.

Nie słuchał nic z tego, co mówiło się wokół niego. Kiedy nadeszła jego kolej, poprzestał na mruknięciu:

— Nadal prowadzę dochodzenie w sprawie śmierci Manuela Palmariego. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, nie będę rozpaczał, likwidując przy okazji szajkę złodziei klejnotów.

— Ciągłe ten pański stary pomysł! Od ilu lat podejrzewa pan Palmariego?

— Od wielu lat, to prawda.

Czekały nań pozostałe raporty, w szczególności Gastinne–Rennette’a i lekarza sądowego. Wszystkie trzy kule, które trafiły Manuela i z których jedna utkwiała w oparciu fotela, zostały wystrzelone z pistoletu Smith & Wesson należącego do Palmariego.

— Janvier, chodź na chwilę.

Przekazał mu instrukcje dotyczące zorganizowania wart przy ulicy Akacjaowej.

Nieco później przeszedł przez oszklone drzwi, pozwalające przedostać się z Komendy Policji do Pałacu Sprawiedliwości. Musiał pokonać dwa piętra, nim znalazł gabinet sędziego Ancelina, znajdujący się niemal na poddaszu.

Było to jedno z tych nie modernizowanych pomieszczeń, które rezerwowano dla nowo przybyłych; sędzia był zmuszony układać papierzyska w stosy prosto na podłodze i przez cały dzień palić światło.

Na widok Maigreta pulchny sędzia zatarł ręce.

— Ma pan wolne na chwile — zwrócił się do swego kancelisty. — Proszę siadać, mój drogi komisarzu Nie mogę się doczekać wieści, jak panu idzie.

Maigret streścił mu to, co robił wczoraj, oraz otrzymane rano raporty.

— Ma pan nadzieje, że wszystkie te porozrzucane elementy w końcu utworzą spójną całość?

— Każda osoba zamieszana w tę sprawę się boi. W tej chwili każdy jest odizolowany od innych, nie mając możliwości porozumienia się...

— Rozumiem! Rozumiem! Bardzo sprytnie! Za to niezbyt zgodnie z przepisami. Nie mógłbym postępować w ten sam sposób, ale zaczynam rozumieć pańską taktykę. Co pan teraz zrobi?

— Najpierw małą rundkę po ulicy La Fayette, gdzie w pewnej piwiarni i na chodniku każdego ranka odbywa się targ diamentów. Znam tam kilku handlarzy. To miejsce, które miałem okazję często odwiedzać. Następnie udam się do wytwórni tektury Gelota, żeby sprawdzić to, czego pan się domyśla.

— Jednym słowem, jeżeli dobrze zrozumiałem, sprawa przedstawia się następująco...

I sędzia, z chytrym spojrzeniem, opisał szczegółowo cały mechanizm afery, co było dowodem, że spędził część nocy na studiowaniu akt.

— Przypuszczam, że uważa pan Palmarięgo za mózg całego przedsięwzięcia. W swoim barze na Montmartre w ciągu wielu lat poznał złodziei różnych generacji, którzy tam się spotykali. Stare pokolenie powoli rozproszyło się po całej Francji, ale zachowało dawne kontakty. Inaczej mówiąc, Palmari jednym telefonem mógł sobie znaleźć dwu lub trzech ludzi, których mu było potrzeba do takiego czy innego skoku. Zgadza się?

Maigret przytaknął, rozbawiony podnieceniem urzędnika.

— Nawet odizolowany od świata w wyniku wypadku, mógł bez przeszkód kierować organizacją dzięki pośrednictwu Aline Bauche. Od razu kupił dom, w którym razem z nią mieszkał: zastanawiam się teraz, czy nie miał konkretnego celu postępując w ten sposób.

— To mu pozwalało wymówić niektórym lokatorom, kiedy potrzebował wolnego mieszkania.

— Na przykład Barillard. Kiedy się jest pilnowanym przez policję, to bardzo praktycznie mieć wspólnika na tym samym piętrze. Sądzi pan, że Barillard był w stanie szlifować na nowo kamienie szlachetne i je upłynniać?

— Upłynniać tak. Szlifować nie, ponieważ jest to jeden z najtrudniejszych zawodów. Barillard dawał znać o towarze wartym skoku, co przy jego profesji przychodziło mu bez trudu. Za pośrednictwem Aline, która niekiedy wymykała nam się spod kontroli i udawała do hotelu „Bussière”...

— Stąd zakup tego hotelu, który na dodatek stanowił dobrą lokatę.

— Młodzi adepci złodziejskiego fachu przyjeżdżali z prowincji na dzień lub dwa. Aline, albo być może Barillard, czekała na nich w określonym miejscu, żeby następnie przejąć klejnoty. Najczęściej sprawcy włamań odjeżdżali nie będąc niepokojeni, nie wiedząc nawet, na czyj rachunek pracowali, co wyjaśnia, dlaczego tych niewielu złodziei, których zatrzymaliśmy, nie mogło nam nic powiedzieć.

— Jeszcze jednak kogoś brakuje.

— Zgadza się. Szlifierza diamentów.

— Powodzenia, Maigret. Pozwoli pan, że tak się do niego zwrócę? Proszę mi mówić Aneelin.

Komisarz odpowiedział uśmiechem.

— Spróbuję. Zważywszy moje poprzednie stosunki z sędziami śledczymi, zwłaszcza z niejakim Comelieu, obawiam się, że nie uda mi się to tak od razu. Tymczasem miłego dnia, panie sędzio. Będę pana informował na bieżąco.

Kiedy zadzwonił z biura do fabryki tektury przy ulicy Gobelinów, po drugiej stronie drutu odezwał się Gelot syn.

— Ależ nie, panie Gelot. Naprawdę nie ma się czym przejmować. Chodzi o zwykłe sprawdzenie, które nie ma nic wspólnego z reputacją pańskiej firmy. Twierdzi pan, że Fernand Barillard jest znakomitym przedstawicielem, a ja bardzo chcę w to wierzyć. Muszę po prostu wiedzieć, dla dobra śledztwa, którzy jubilerzy składali u niego zamówienia na przykład w ciągu ostatnich dwu lat. Przypuszczam, że pańscy księgowi z łatwością sporządzą

mi tę listę. Przyjdę po nią przed południem. Proszę się niczego nie obawiać. Potrafimy zachować najściślejszą dyskrecję.

W biurze inspektorów długo spoglądał na otaczające go twarze i jak zwykle, jego wybór padł w końcu na Janviera.

— W tej chwili nie masz nic ważnego?

— Nie, szefie. Kończyłem właśnie raport, który może poczekać. Ciągle te papierzyska.

— Weź kapelusz i chodź ze mną.

Maigret należał do pokolenia, spośród którego wielu ludzi odmawiało siadania za kierownicą. Sam miał się na baczości przed własnym roztargnieniem i zawiłymi rozmyślaniami, w których łatwo pogrążał się podczas dochodzenia.

— Na róg ulicy La Fayette i ulicy Cadet.

W policji, gdy wykonuje się jakieś poważne zadanie, zasadą jest być zawsze we dwóch. Gdyby wczoraj „Pod Złotym Gwoździem” nie było z nim Lapointe’a, nie mógłby kazać śledzić pana Louisa i z pewnością musiałyby upłynąć wiele dni, nim zainteresowałby się tym, co robi Barillard.

— Znajdę miejsce do zaparkowania i zaraz do pana idę. Podobnie jak on, Janvier znał rynek kamieni szlachetnych.

Z kolei większość paryżan, nawet tych, którzy co rano przechodzą ulicą La Fayette, nawet się nie domyśla, że ci skromnie wyglądający mężczyźni, ubrani niczym drobni urzędnicy i rozprawiający w grupach na chodniku bądź wokół stolików w piwiarni, mają w kieszeniach całe fortuny w rzadkich kamieniach.

Kamienie te przechodzą w małych woreczkach z ręki do ręki, początkowo bez pokwitowania.

W tym zamkniętym świecie, gdzie wszyscy się znają, panuje zaufanie.

— Cześć, Bérenstein!

Maigret uściśnął dłoń wysokiego, chudego gościa, który oddalił się właśnie od swych dwu towarzyszy, wsadziwszy do kieszeni woreczek diamentów, tak jakby chował najzwyklejszy list.

— Cześć, komisarzu. Znowu napad na sklep jubilerski?

— Od zeszłego tygodnia nie.

— Ciągle pan nie znalazł tego faceta? Rozmawiałem o tym z kolegami co najmniej dwadzieścia razy. Tak jak ja, znają wszystkich paryskich szlifierzy diamentów. Jak już panu powiedziałem, nie jest ich wielu, a ja jestem gotów za nich ręczyć. Żaden z nich nie podjąłby się szlifowania kradzionych albo chociażby podejrzanych kamieni. Ci ludzie mają nosa, niech mi pan wierzy! Wypije pan ze mną kufelek?

— Chętnie. Jak tylko mój inspektor przejdzie przez ulicę.

— A to dopiero! Janvier! Wziął pan ze sobą posiłki, co?

Usiedli przy stoliku, niemal wszędzie dokoła stojąc dyskutowali pośrednicy. Niekiedy któryś z nich wyciągał lupę zegarmistrzowską, by obejrzeć kamień.

— Przed wojną dwoma głównymi ośrodkami szlifowania kamieni były Anvers i Amsterdam. Dziwna rzecz: z przyczyn, których nigdy nie poznałem, większość szlifierzy pochodziła i nadal pochodzi z krajów nadbałtyckich, to Łotysze i Estończycy. W Anvers mieli dokumenty cudzoziemców, a kiedy wycofywali się przed natarciem Niemców, skierowano ich wszystkich do Royan, potem do Stanów Zjednoczonych. Po wojnie Amerykanie próbowali wszystkiego, żeby ich zatrzymać. Udało im się przekonać zaledwie jedną dziesiątą, ponieważ ci ludzie tęsknili za krajem. Jednak niektórzy z nich w drodze powrotnej ulegli urokowi Paryża. Odnajdzie ich pan w dzielnicy Marais i w dzielnicy Saint-Antoine. Każdy z nich jest znany, każdy ma swego rodzaju rodowód, jako że jest to zawód, który przechodzi z ojca na syna i ma swoje tajemnice.

Maigret popatrzył nań nagle roztargnionym wzrokiem, tak jakby przestał słuchać.

— Chwileczkę. Powiedział pan...

W przemowie Bérensteina uderzyło go poniewczasie jedno słowo.

— Co takiego niepokojącego powiedziałem?

— Moment! Natarcie Niemców... Szlifierze kamieni z Anvers, którzy... Stany Zjednoczone... Kilku z nich, którzy tam pozostali... A dlaczego podczas ucieczki nie miałby ktoś zostać we Francji?

— To możliwe, ale jako że wszyscy niemal są Żydami, ci, którzy pozostali, mieli wszelkie szansę skończyć w obozach koncentracyjnych albo w piecach krematoriów.

— Chyba że...

Komisarz wstał gwałtownie. — W drogę, Janvier! Gdzie twój samochód? Cześć, Bérenstein. Proszę mi wybaczyć. Powinienem był pomyśleć o tym wcześniej...

Maigret precysnął się jak mógł najszybciej pomiędzy wypełniającymi chodnik grupkami ludzi.



## VI

Janvier patrzył prosto przed siebie, ściskając nieco mocniej niż zwykle kierownicę małego czarnego samochodu. Walczył z chęcią przyglądania się siedzącemu obok Maigretowi. W pewnej chwili otworzył usta, chcąc zadać palące mu wargi pytanie, jednak potrafił się opanować w wystarczającym stopniu, by milczeć.

Pomimo że pracował z komisarzem od wstąpienia do Policji Kryminalnej i uczestniczył u jego boku w setkach dochodzeń, za każdym razem z podziwem obserwował postępowanie swego przełożonego.

Poprzedniego dnia Maigret rzucił się na sprawę z radosnym szaleństwem, wydobywając z cienia rozmaite postaci, obracając je wielokrotnie w grubych łapach, podobnie jak to robi kot z myszą, a następnie odstawiając je z powrotem do kąta. Posyłał inspektorów na prawo i lewo, jakby nie miał żadnego planu, mówiąc sobie, że zawsze coś z tego wyniknie.

Naraz przestał się bawić. Obok Janviera znajdował się ktoś zupełnie inny, ludzka masa, nad którą nikt nie miał władzy, niemal przerażający monolit.

Przed południem aleje i ulice Paryża były prawdziwym fajerwerkami w lipcowym upale, wszędzie widać było plamy światła; tryskało ono z łupkowych dachów i różowych dachówek, ze sklepowych witryn, gdzie płonęła czerwień geranium; migotała wielobarwnych karoseriach samochodów — niebieskich, zielonych, żółtych; rozbrzmiewały klaksony, głosy, zgrzyt hamulców, dzwonienie, przenikliwy gwizdek policjanta.

Można by powiedzieć, że czarne auto w całej tej symfonii trwało niczym wysepka ciszy i nieruchomości, że sam Maigret to niewzruszony blok i z pewnością nie widział nic wokół siebie, nic nie słyszał, nie zauważył nawet, że dotarli na ulicę Akacjową.

— Jesteśmy na miejscu, szefie.

Wysiadł ciężko z pojazdu, który stał się dlań zbyt ciasny, popatrzył pustym wzrokiem na znajomą przecież ulicę, po czym podniósł głowę z taką miną, jakby brał w posiadanie cały dom wraz z piętrami i jego mieszkańcami.

Zdążył jeszcze na chodniku opróżnić fajkę stukając nią o obcas, napełnić ją i zapalić.

Janvier nie zapytał, czy ma mu towarzyszyć, nie odezwał się też słowem do Janina, który pilnował domu i który zastanawiał się, dlaczego szef zdaje się go nie poznawać.

Maigret podążył ku windzie, a inspektor za nim. Zamiast nacisnąć guzik czwartego piętra, komisarz wybrał piąte, skąd szybkim krokiem udał się na poddasze.

Skręciwszy w lewo, zatrzymał się przed drzwiami głuchoniemego i wiedząc, że nie otrzyma odpowiedzi, nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły. Mansarda Flamanda była pusta.

Komisarz niemal zerwał zasłonę z szafy i zrobił krótki przegląd kilku podniszczonych ubrań.

Jego oczy z fotograficzną dokładnością zarejestrowały każdy kąt pokoju, po czym zszedł piętro niżej, zawahał się i ponownie wszedł do windy, która zawiozła go na parter.

Dozorczyńni była w stróżówce, z butem na prawej nodze, a pantoflem na lewej.

— Czy Claes wychodził dziś rano?

Jego napięcie zrobiło na niej niemałe wrażenie.

— Nie. Jeszcze nie schodził.

— Nie opuszczała pani stróżówki?

— Nie, nawet żeby zamieść schody. Zastąpiła mnie sąsiadka, bo znowu mam bóleści.

— Nie wychodził dziś w nocy?

— Nikt nie wychodził. Otwierałam bramę tylko lokatorom, którzy wracali. Zresztą na chodniku ma pan swojego inspektora, on może to potwierdzić.

Maigret myślał usilnie, myślał ciężko, zgodnie z określeniami, które Janvier stworzył na własny użytek.

— Proszę mi powiedzieć... Jeżeli dobrze rozumiem, każdy lokator dysponuje kawałkiem strychu...

— Zgadza się. Poza tym każdy może dodatkowo wynająć służbówkę.

— Nie o to pytam. A piwnice?

— Przed wojną były tylko dwie duże piwnice i każdy sobie radził z umieszczeniem swojego węgla w jakimś kącie. W czasie wojny, kiedy to antracyt stał się tak drogi jak kawior, wybuchały kłótnie, każdy twierdził, że jego kupka zmalała. Krótko mówiąc, ówczesna właścicielka kazała postawić ścianki działowe z drzwiami i kłódkami.

— W ten sposób każdy lokator ma własną piwnicę?

— Tak

— Claes też?

— Nie. On jest lokatorem, ale tak jakby nim nie był, ponieważ zajmuje służbówkę.

— A Barillardowie?

— Oczywiście.

— Ma pani klucze od piwnic?

— Nie. Przecież panu powiedziałam, że zamykane są na kłódkę. Każdy lokator ma swoją.

— Czy może pani zobaczyć, kiedy ktoś schodzi do piwnicy?

— Nie stąd. Schody na dół znajdują się naprzeciw wejścia dla służby, w głębi. Wystarczy pchnąć drzwi, na których nie ma napisu i gdzie nie ma wycieraczki.

Maigret wrócił do windy. Nic nie mówiąc spoglądał Janvierowi prosto w oczy. Zabrakło mu cierpliwości, by zadzwonić do drzwi Barillarda, w które gwałtownie uderzył pięścią. Otworzyła z przestraszoną miną pani Barillard. Ubrana była w kretonową sukienkę.

— Gdzie pani mąż?

— W biurze. Uważa, że zabronił mu pan pójść do pracy.

— Proszę go zawołać.

Ukazał się Barillard, jeszcze w piżamie i w szlafroku. Pomimo wysiłków wyglądał gorzej i miał mniej pewności siebie niż wczoraj.

— Proszę wziąć klucz od piwnicy.

— Ale...

— Proszę zrobić to, co mówię.

Działo się to w nierealnym świecie, świecie snów czy też raczej koszmarów. Naraz ich wzajemne stosunki nie były już takie same. Można by powiedzieć, że każdy z nich znajdował się teraz w stanie szoku i że zarówno słowa, jak gesty i spojrzenia, nabrały innej wartości.

— Proszę iść przodem.

Popchnął go do windy, na parterze zaś rozkazał sucho:

— Do piwnicy.

Barillard stawał się coraz bardziej niepewny, Maigret zaś coraz bardziej twardy.

— Czy to te drzwi?

— Tak.

Jedna, bardzo słaba żarówka oświetlała białą ścianę i niegdyś ponumerowane drzwi, na których cyfry zdążyły się już zatrzeć; na podpadanym tynku dało się dostrzec sprośne graffiti,

— Ile jest kluczy do tej kłódki?

— Mam tylko jeden.

— Kto mógłby mieć drugi?

— A skąd mam wiedzieć?

— Nie powierzał pan klucza nikomu?

— Nie.

— Do tej piwnicy macie dostęp wyłącznie pan i pańska żona?

— Nie używaliśmy jej od lat.

— Proszę otworzyć.

Ręce Barillarda drżały. Wyglądał w tym miejscu bardziej groteskowo niż w mieszczańskim otoczeniu swego mieszkania.

— No i co? Niech pan otworzy!

Skrzydło drzwi przesunęło się o jakieś piętnaście centymetrów i znieruchomiło.

— Czuję opór.

— Proszę pchnąć mocniej. W razie potrzeby niech pan się oprze plecami.

Janvier spoglądał na Maigreta osłupiałym wzrokiem, pojmując nagle, że komisarz spodziewał się — tylko od jak dawna? — obecnego biegu wydarzeń.

— Trochę ustępuje.

Naraz spostrzegli zwisającą nogę. Przesuwające się nadal drzwi odsłoniły drugą. W pustej przestrzeni, jakieś pięćdziesiąt centymetrów nad podłogą z ubitej ziemi, wisiało bosonogie ciało.

Był to stary Claes, ubrany w koszulę i zniszczone spodnie.

— Załóż mu kajdanki, Janvier.

Inspektor spoglądał kolejno to na wisielca, to na Barillarda. Ten na widok kajdanków zaprotestował:

— Chwileczkę, proszę!

Przygniotło go nieodgadnione spojrzenie Maigreta i przestał się opierać.

— Idź po Janina. Nie jest już potrzebny na zewnątrz.

Podobnie jak uczynił to na górze, Maigret przeprowadził inspekcję ciasnego, głębokiego pomieszczenia; wyczuwało się, że każdy szczegół utrwała się w jego pamięci na zawsze. Dotykał palcem licznych przedmiotów, które wyciągnął z worka, po czym zdawał się głaskać w zamyśleniu ciężki, stalowy stół, przytwierdzony do podłoża.

— Zostaniesz tutaj, Janin, dopóki nie przyjadą ci panowie. Nie pozwól nikomu wchodzić. Nawet twoim kolegom. Ty sam też niczego nie dotykaj. Jasne?

— Jasne, szefie.

— W drogę.

Patrzył na Barillarda, na jego zmienioną sylwetkę; odkąd miał obie ręce za plecami, poruszał się niczym manekin.

Nie wsiedli do windy, lecz dostali się na czwarte piętro schodami dla służby, nie spotkawszy nikogo. Stojąca w kuchni pani Barillard na widok męża w kajdankach krzyknęła:

— Panie Maigret!

— Za chwilę, proszę pani. Najpierw muszę zatelefonować.

I nie zajmując się pozostałymi, wszedł do biura Barillarda, w którym cuchnęło papierosami, po czym wykręcił numer sędziego Ancelina.

— Halo!... Tak, tu Maigret. Jestem idiotą, mój drogi sędzio. I czuję się odpowiedzialny za śmierć człowieka. Tak, nowy trup. Gdzie? Rzecz jasna, na ulicy Akacyjowej. Powinienem był to zrozumieć na samym początku. Wypłoszyłem zwierzynę zamiast skupić się na jedynym istotnym tropie. Najgorsze jest to, że ten trzeci element, jeżeli mogę tak powiedzieć, dręczył mnie już od lat... Proszę mi wybaczyć, że nie podam panu szczegółów w tej chwili. W piwnicy jest wisielec. Lekarz na pewno odkryje, że nie powiesił się sam, że był martwy lub ranny, kiedy włożono mu sznur na szyję. To stary mężczyzna... Czy mogę pana prosić, aby prokuratura nie posuwała roboty zbyt szybko? Jestem zajęty na czwartym piętrze i bardzo bym chciał, żeby mi nie przeszkadzano, zanim osiągnę jakiś rezultat. Nie wiem, ile czasu to będzie trwało. Do zobaczenia wkrótce... O, nie! Nie zjemy dziś razem obiadu u naszego sympatycznego Owernijczyka.

Nieco później po drugiej stronie drutu Maigret usłyszał swego starego przyjaciela Moersa, specjalistę z ekipy dochodzeniowej.

— Potrzeba mi bardzo starannej roboty i nie chciałbym, żeby była wykonana na łapu-capu. Nie ma sensu, żeby prokuratura i sędzia przyszli szperać w piwnicy. Znajdziesz tam przedmioty, które cię zaskoczą. Być może trzeba będzie opukać ściany i rozkopać podłogę.

Podniósł się z westchnieniem z fotela, przeszedł przez salon, w którym Barillard siedział na krześle naprzeciw Janviera palącego papierosa, wkroczył do kuchni i otworzył lodówkę.

— Można? — zapytał panią Barillard.

— Proszę mi powiedzieć, komisarzu...

— Za chwilę, dobrze? Umieram z pragnienia.

Podczas gdy zdejmował kapsel z butelki piwa, podała mu szklankę, potulna i przerażona.

— Sądzi pan, że mój mąż...

— Ja nic nie sądzą. Proszę ze mną.

Podążyła za nim w osłupieniu do biura, w którym zupełnie naturalnie ponownie zajął fotel Barillarda.

— Niech pani siada. Proszę się odprężyć. Pani się nazywa Claes, prawda?

— Tak... — Zawahała się, zaczerwieniona. — Niech pan posłucha, komisarzu. Przypuszczam, że to ważne?

— Począwszy od tej chwili wszystko jest ważne, proszę pani. Nie ukrywam, że każde słowo się liczy.

— Istotnie, nazywam się Claes. To moje nazwisko panińskie, zapisane w dowodzie osobistym.

— Ale?

— Nie wiem, czy to moje prawdziwe nazwisko.

— Czy starzec, który zajmował poddasze, to jakiś krewny?

— Nie sądzą. Nie wiem. To wszystko było tak dawno! A ja byłam zaledwie małą dziewczynką.

— O jakich czasach pani mówi?

— O tym bombardowaniu w Douai, w chwili ucieczki. Pociągi i znowu pociągi, z których się wysiadało, żeby położyć się na nasypie. Kobiety niosące zakrwawione niemowlęta. Mężczyźni z opaskami na ramionach, biegający we wszystkie strony, i odjeżdżający pociąg. I wreszcie ten wybuch przypominający koniec świata.

— Ile pani miała lat?

— Cztery? Trochę więcej albo trochę mniej?

— Skąd pochodzi to nazwisko Claes?

— Przypuszczam, że to nazwisko mojej rodziny. Podobno właśnie to nazwisko wymówiłam.

— A imię?

— Mina.

— Mówiła pani po francusku?

— Nie. Tylko po flamandzku. Nigdy wcześniej nie widziałam miasta.

— Pamięta pani nazwę swojej wioski?

— Nie. Ale dlaczego nie rozmawia pan ze mną o mężu?

— Przyjdzie na to czas. Gdzie pani spotkała starego?

— Nie jestem pewna. To, co się stało tuż przed i tuż po wybuchu, zatarło mi się w pamięci. Wydaje mi się, że szłam z kimś, kto trzymał mnie za rękę.

Maigret podniósł słuchawkę telefonu, poprosił o połączenie z merostwem Douai. Uzyskał je bez czekania.

— Pana mera nie ma — oznajmił sekretarz merostwa. Był bardzo zaskoczony słysząc pytanie Maigreta:

— Ile pan ma lat?

— Trzydzieści dwa.

- A mer?
- Czterdzieści trzy.
- Kto był merem, gdy nadeszli Niemcy w 1940 roku?
- Doktor Nobel. Pozostał merem przez dziesięć lat po wojnie.
- Nie żyje?
- Żyje. Pomimo swego wieku ciągle prowadzi praktykę w swoim starym domu w Grand
- Place.

W trzy minuty później komisarz rozmawiał już z doktorem Noblem, pani Barillard zaś słuchała ze zdumieniem.

— Proszę mi wybaczyć, doktorze. Mówi komisarz Maigret z Policji Kryminalnej. Nie chodzi o jednego z pańskich pacjentów, ale o starą historię, która mogłaby rzucić światło na niedawne tragedie. Czy pamięta pan, jak dworzec w Douai został zbombardowany w biały dzień w 1940 roku, podczas gdy znajdowało się tam wiele pociągów z uchodźcami, zaś setki pozostałych uchodźców czekały na swoją kolej?

Nobel nie zapomniał tego ataku, który stał się wydarzeniem jego życia.

— Byłem tam, panie komisarzu. To najstraszniejsze wspomnienie, jakie człowiek może zachować. Wszędzie panował spokój. Służby pomocnicze zajmowały się karmieniem uchodźców belgijskich i francuskich, którzy mieli odjechać pociągami na Południe. Kobiety z niemowlętami zgromadzono w poczekalni pierwszej klasy, gdzie rozdano im butelki oraz świeże pieluszki. Krzątało się tam około dziesięciu pielęgniarek. W zasadzie nikomu nie wolno było opuszczać pociągu, ale pokusa odwiedzenia bufetu dworcowego była zbyt silna. Krótko mówiąc, wszędzie byli ludzie... I nagle, w tej samej chwili, gdy ryknęły syreny, dworzec zadrżał, szyby się posypały, ludzie wrzeszczeli i nie można było się zorientować, co się właściwie dzieje. Do dziś nie wiadomo, ile było samolotów... Widok był niesamowity i na zewnątrz, i wewnątrz: przed dworcem i na peronach: poszarpane ciała, ręce, nogi; ranni z oszalałym wzrokiem, którzy biegali trzymając się za piersi lub brzuch... Miałem szczęście, że nie zostałem trafiony. Usiłowałem przekształcić poczekalnię w salę pierwszej pomocy. Nie mieliśmy dostatecznej liczby karetek ani łóżek w szpitalach, żeby pomieścić wszystkich rannych. Wykonywałem pilne zabiegi na miejscu, w warunkach więcej niż prowizorycznych...

— Zapewne nie przypomina pan sobie wysokiego, chudego mężczyzny, Flamanda, który musiał mieć całkowicie roztrzaskaną twarz i który z tego powodu stał się głuchoniemy?

— Dlaczego pan o nim mówi?

— Ponieważ to on mnie interesuje.

— Tak się składa, że bardzo dobrze go sobie przypominam i że często o nim myślałem. Byłem tam jako mer, jako przewodniczący miejscowego Czerwonego Krzyża i komitetu powitalnego, wreszcie jako lekarz. Właśnie jako mer usiłowałem połączyć rodziny, zidentyfikować najciężiej rannych i zabitych, co nie zawsze było łatwe. Pochowaliśmy wiele ciał, które nigdy nie zostały rozpoznane, na przykład sześciu staruszków, prawdopodobnie z domu starców. Później na próżno próbowaliśmy ustalić ich pochodzenie... Mimo tego całego chaosu, tej paniki, utkwiała mi w pamięci pewna rodzina: mężczyzna w zaawansowanym wieku, dwie kobiety, troje lub czworo dzieci, których bomby dosłownie rozerwały na kawałki. Właśnie tuż obok ujrzałem człowieka, którego twarz była już tylko krwawiącą masą. Kazałem go przenieść na stół, zaskoczony, że nie oślepl ani że nie został trafiony w niezbędne do życia organy. Już sam nie wiem, ile szwów trzeba było założyć, żeby go zeszyć. Kilka kroków od nas stała mała dziewczynka, cała i zdrowa, śledząca moje ruchy bez widocznego wzruszenia. Zapytałem ją, czy to ktoś z jej rodziny, ojciec lub dziadek i nie wiem, co mi odpowiedziała po flamandzku... W pół godziny później, kiedy operowałem jakąś ranną kobietę, ujrzałem tego człowieka na nogach, kierującego się na zewnątrz, w towarzystwie małej dziewczynki. W panującym bałaganie widok ten był raczej oszalamiający. Głowę



rannego owinąłem ogromnym bandażem, z którym obnosił się teraz wśród tłumu, jakby nie zdając sobie z tego sprawy. Wydawał się nie zwracać uwagi na drepającego mu pod nogami brzdąca... „Niech ktoś pójdzie po niego” — rzuciłem jednej z moich pomocnic. „On nie może odejść bez dodatkowych zabiegów”. To mniej więcej wszystko, co potrafię panu powiedzieć, panie komisarzu. Kiedy znów mogłem o nim pomyśleć, na próżno usiłowałem zdobyć informacje. Widziano go jak błakał się wśród gruzów, wokół karetek. Z Północy ciągle napływał strumień wszelkiego rodzaju pojazdów, przewożących meble, rodziny, materace, czasem świnię i krowy. Jednemu z moich harcerzy wydawało się, że widział wysokiego starego mężczyznę, nieco przygarbionego, wchodzącego na platformę wojskowej ciężarówki w towarzystwie małej dziewczynki, której żołnierze pomogli się wdrapać... W czasie wojny i po wojnie, kiedy próbowaliśmy przywrócić porządek w tym rozgardiaszu, pozostała pewna liczba znaków zapytania. W miastach Holandii, Flandrii i Pas-de-Calais sporo merostw zostało zniszczonych bądź splądrowanych, rejestry urzędu stanu cywilnego spalone... Myśli pan, że odnalazł tego człowieka?

— Jestem niemal pewien.

— Co się z nim stało?

— Właśnie znaleźliśmy go powieszzonego, a ja siedzę w tej chwili naprzeciw dawnej małej dziewczynki.

— Będzie mnie pan informował o tym wszystkim?

— Jak tylko się w tym rozeznam. Dziękuję, doktorze.

Maigret otarł twarz, opróżnił fajkę, nabił ją powtórnie i powiedział łagodnie do swej rozmówczyni:

— A teraz proszę mi opowiedzieć swoją historię.

\* \* \*

Obserwowała go szeroko otwartymi, pełnymi niepokoju oczami, cały czas obgryzając paznokcie, zwinięta w fotelu niczym mała dziewczynka.

Zamiast odpowiedzieć zapytała z urazą:

— Dlaczego pan traktuje Fernanda jak przestępcę i założył mu pan kajdanki?

— Pomówimy o tym później, dobrze? Na razie szczerze odpowiedzi to pani największa szansa na pomoc mężowi.

Na usta młodej kobiety cisnęło się następne pytanie, które zdawała się sobie stawiać od dawna, jeśli nie od zawsze:

— Czy Jef był szaleńcem? Jef Claes?

— Czy zachowywał się jak szaleniec?

— Nie wiem. Nie mogę porównać mojego dzieciństwa z niczym innym, ani jego z żadnym mężczyzną.

— Niech pani zacznie od Douai.

— Ciężarówki, obozy dla uchodźców, pociągi, przesłuchujący starca żandarmi — mnie się on wydawał stary — którzy nie mogąc z niego nic wyciągnąć, przesłuchiwali z kolei mnie. Kim jesteśmy? Z jakiej wioski pochodzimy? Nie wiedziałam... Szliśmy wciąż dalej i dalej i jestem pewna, że któregoś dnia zobaczyłam Morze Śródziemne. Przypomniałam sobie o tym później i przypuszczam, że dotarliśmy aż do Perpignan.

— Czy Claes usiłował przedostać się do Hiszpanii? Żeby stamtąd udać się do Stanów Zjednoczonych?

— Skąd miałabym to wiedzieć? On już ani nie słyszał, ani nie mówił. Żeby mnie zrozumieć, uparcie wpatrywał się w moje wargi i musiałam powtarzać wielokrotnie to samo pytanie.

— Dlaczego ciągnął panią ze sobą?

— To ja za nim szłam. Od tamtego czasu przemyślałam to. Przypuszczam, że widząc wszystkich moich bliskich zabitych, uczepliłam się człowieka znajdującego się najbliżej, przypominającego być może mojego dziadka.

— Jak to się stało, że przybrał on pani nazwisko, jeżeli pani rzeczywiście nazywała się Claes?

— Dowiedziałam się tego później. Zawsze trzymał w kieszeni kawałki papieru i niekiedy pisał na nich parę słów po flamandzku, bo jeszcze nie rozumiał po francusku. Ja też nie. Po wielu tygodniach lub miesiącach w końcu osiedliśmy w Paryżu. Wynajął pokój z kuchnią w dzielnicy, której nigdy już nie odnalazłam... Nie był biedny. Kiedy potrzebował pieniędzy, wyciągał spod koszuli jedną lub dwie sztuki złota, które były zaszyte w szerokim płóciennym pasku. To były jego oszczędności. Długo krążyliśmy bocznymi ulicami, żeby wybrać sklep jubilerski albo ze starzyzną, a on wchodził tam ukradkiem, przerażony myślą, że mogą go przyłapać... Dlaczego tak było, dowiedziałam się w dniu, kiedy Żydzi zostali zmuszeni do noszenia żółtej gwiazdy przyszytej do ubrania. Napisał mi swoje prawdziwe nazwisko na skrawku papieru, który następnie spalił: Victor Krulak. Był Żydem, jego rodzina pochodziła z Łotwy, on urodził się już w Anvers, gdzie podobnie jak ojciec i dziad, pracował przy diamentach.

— Chodziła pani do szkoły?

— Tak. Uczniowie śmiali się ze mnie.

— Czy to Jef przygotowywał posiłki?

— Tak i bardzo dobrze przyrządzał karbonadę. Nie nosił gwiazdy. Ciągle się bał. W komisariatach robiono mu trudności, bo nie mógł dostarczyć papierów potrzebnych do wyrobienia dowodu osobistego. Pewnego razu wysłano go do jakiegoś szpitala dla umysłowo chorych, ponieważ uważano go za szaleńca, ale uciekł stamtąd nazajutrz.

— Był do pani przywiązany?

— Sądzę, że postąpił w ten sposób, bo nie chciał mnie utracić. Nigdy nie był żonaty. Nie miał dzieci. Jestem przekonana, że według niego to Bóg umieścił mnie na jego drodze... Dwa razy odstawiano nas na granicę, ale on i tak potem powracał do Paryża, znajdował umeblowany pokój z małą kuchnią, czasem od strony Sacré-Coeur, czasem na przedmieściu Saint-Antoine.

— Nie pracował?

— Nie w tamtym okresie.

— Czym wypełniał dni?

— Wałęsał się, obserwował ludzi, uczył się czytać z ich warg, rozumieć ich język. Pewnego dnia, pod koniec wojny, wrócił z fałszywym dowodem osobistym, który z takim trudem usiłował zdobyć przez cztery lata. Stał się oficjalnie Jefem Claesem, ja zaś byłam jego wnuczką. Mieszkaliśmy w trochę większym mieszkaniu, niedaleko Ratusza, do niego zaś przychodzili ludzie, żeby dać mu coś do roboty. Teraz nie potrafiłabym ich rozpoznać... Chodziłam do szkoły. Wyrosłam na młodą dziewczynę i zaczęłam pracować jako ekspedientka w sklepie jubilerskim przy bulwarze Beaumarchais.

— Czy to stary Jef znalazł pani tę posadę?

— Tak. Pracował dla rozmaitych jubilerów, wykonywał naprawy, odnawiał starą biżuterię.

— Właśnie w ten sposób poznała pani Barillarda?

— Rok później. Jako przedstawiciel handlowy powinien do nas przychodzić zaledwie co trzy miesiące, ale przychodził częściej i w końcu czekał na mnie przy wyjściu ze sklepu.

Był przystojny, bardzo wesoły, dowcipny. Kochał życie. To właśnie z nim wypiliśmy mój pierwszy aperitif w „Quatre Sergents de la Rochelle”.

— Wiedział, że pani jest wnuczką Jefa?

— Powiedziałam mu o tym. Opisałam mu nasze przygody. Ponieważ miał zamiar mnie poślubić, rzecz jasna poprosił mnie, żeby go przedstawić. Pobraliśmy się i zamieszkaliśmy razem z Jefem w małym domku w Fontenay-sous-Bois.

— Nigdy nie widziała tam pani Palmariego?

— Naszego dawnego sąsiada? Nie potrafiłabym tego powiedzieć, jako że odkąd tu jesteśmy, nigdy go nie spotkałam. Fernand przyprowadzał czasem kolegów, uroczych mężczyzn, który lubili dobrze się zabawić i dobrze wypić.

— A stary?

— Większość czasu spędzał w szopie na narzędzia, w głębi ogrodu, gdzie Fernand urządził mu warsztat.

— Nigdy pani niczego nie podejrzewała?

— A co miałabym podejrzewać?

— Proszę mi powiedzieć, pani Barillard, czy pani mąż ma zwyczaj wstawać w nocy?

— Właściwie nigdy.

— Nie opuszcza mieszkania?

— Dlaczego?

— Czy przed pójściem spać pije pani jakieś zioła?

— Werbenę, niekiedy rumianek.

— Nie obudziła się pani ostatniej nocy?

— Nie.

— Może mnie pani zaprowadzić do łazienki?

Łazienka nie była duża, lecz dość zadbana i wesoła, z żółtymi kafelkami. Nad miednicą zamocowana była niewielka apteczka. Maigret otworzył ją, obejrzał kilka fiolek, jedną zatrzymał w ręce.

— To pani bierze te tabletki?

— Już nawet nie wiem, co to jest. Są tu całą wieczność... Przypominam sobie! Fernand cierpiał na bezsenność i jeden z przyjaciół polecił mu to lekarstwo.

Tymczasem etykiетка była świeża.

— Co się stało, panie komisarzu?

— Stało się to, że ostatniej nocy, podobnie jak wiele razy wcześniej, nie wiedząc o tym połknęła pani kilka tych tabletek razem z ziółkami i mocno pani spała. Pani mąż poszedł na poddasze po Jefa i zszedł z nim do piwnicy.

— Do piwnicy?

— Gdzie urządzony został warsztat. Uderzył go końcem ołowianej rury albo innym przedmiotem tego rodzaju, a potem powiesił go u sufitu.

Krzyknęła, lecz nie zemdląła, za to ruszyła biegiem, wpadła do salonu i zawołała do męża przenikliwym głosem:

— To nieprawda, powiedz, Fernandzie? To nieprawda, że zrobiłeś coś takiego staremu Jefowi?

O dziwo, odzyskała cały swój flamandzki akcent.

\* \* \*

Maigret, nie pozostawiwszy im czasu na rozczulanie się, zabrał Barillarda z salonu do biura i dał znak Janvierowi, by pilnował młodej kobiety. Poprzedniego wieczoru obaj mężczyźni również znajdowali się w tym samym biurze, dziś jednak zamienili się miejscami. Komisarz rozsiadł się w fotelu obrotowym przedstawiciela handlowego, ten zaś tkwił naprzeciw niego, mniej uszczypliwy niż podczas poprzedniego spotkania.

— To nikiemność! — burknął.

— Co jest nikiemnością, panie Barillard?

— Czepianie się kobiet. Jeśli miał pan jakieś pytania, to nie mógł ich pan zadać mnie?

— Panu nie muszę zadawać żadnych pytań, ponieważ już znam na nie odpowiedź. Domyślał się pan tego od naszej wczorajszej rozmowy, skoro uznał pan za konieczne uciszyć na zawsze tego, który stanowił słaby punkt waszej organizacji. Najpierw Palmari, potem Victor Krulak, zwany Jefem Claesem. Biedny człowiek o skolatanym mózgu, który zrobiłby wszystko, by nie rozstawać się z małą dziewczynką, ponieważ ta w dniu sądu ostatecznego włożyła swoją rączkę do jego dłoni. Pan jest kanalią, panie Barillard.

— Dziękuję panu.

— Widzi pan, są kanalie i kanalie. Niektórym mógłbym uścisnąć dłoń, jak na przykład Palmariemu. Pan był kanalią najgorszego gatunku, taką, której nie można spojrzeć w oczy nie mając ochoty uderzyć lub splunąć.

Komisarz rzeczywiście się powstrzymywał.

— Niech pan się nie krępuje! Jestem pewien, że mój adwokat będzie tym zachwycony.

— Za kilka minut zawiozą pana do aresztu, a zapewne dziś po południu, w nocy albo jutro powrócimy do tej rozmowy.

— W obecności mojego adwokata.

— Na razie powinienem złożyć wizytę pewnej osobie, może to potrwać dość długo. Domyśla się pan, o kim mówię. W gruncie rzeczy to właśnie od tej wizyty w dużej mierze będzie zależał pański los... Po zlikwidowaniu Palmariego na szczycie piramidy zostajecie tylko wy dwoje: Aline i pan. Teraz już wiem, że mieliście wyjechać razem przy najbliższej okazji, oczywiście wydając po cichu forszę Manuela. Aline... Fernand... Aline... Fernand... Kiedy ponownie staniecie przede mną, dowiem się, które z was jest... nie powiem — winowajcą, bo jesteście nimi oboje, lecz... które z was jest inspiratorem tego podwójnego dramatu. Jasne? — Nie czekając na jakąkolwiek odpowiedź Maigret zawołał:

— Janvier, zechcesz odwieźć pana do aresztu? Ma prawo ubrać się przyzwoicie, ale nie spuszcza go z oka ani na chwilę. Jesteś uzbrojony?

— Tak, szefie.

— Weź ze sobą któregoś z policjantów będących na dole. Do zobaczenia wkrótce.

Wychodząc zatrzymał się przed panią Barillard.

— Proszę nie mieć do mnie żalu o cierpienie, które pani przeżywa, Mino, ani o te, których pani jeszcze doświadczy,

— Czy to Fernand go zabił?

— Obawiam się, że tak.

— Ale dlaczego?

— Niech pani sobie to wbije do głowy: pani mąż to kanalia, biedna poczciwa kobieto. A w mieszkaniu naprzeciwko znalazł sobie kanalię rodzaju żeńskiego.

Zostawił ją całą we łzach, zaś w kilka chwil później wszedł do piwnicy, w której żółtawą żarówkę zastąpiły reflektory. Można by sądzić, że to sam środek ujęcia jakiejś filmowej sceny.

Wszyscy mówili jednocześnie. Fotografowie wykonywali swoje czynności. Lekarz z łysą głową domagał się trochę ciszy. Moers nie zdołał podejść do komisarza.

Tuż obok Maigreta znalazł się natomiast mały sędzia. Wyszli razem na świeże powietrze.

— Szklaneczkę piwa, panie sędzio?

— Nie odmówiłbym, gdyby udało mi się przejść.

Z trudem się precyzyjnie. Śmierć starego Jefa, mimo że był on niemal nie znany, nie przeszła tak niezauważona, jak śmierć Manuela Palmariego. Przed domem było zbiegowisko, którego rozpędzenie sprawiało trudność dwóm policjantom. Za komisarzem podążyli reporterzy.

— Nie dziś rano, moje dzieci. Po trzeciej w Komendzie. Zaciągnął swego tęgiego towarzysza do Owernijczyka, gdzie w miłym chłodzie stali bywalcy już jedli obiad.

— Dwa duże piwa.

— Pan się w tym połapie, Maigret? — zapytał urzędnik ocierając sobie twarz. — Podobno właśnie odkrywają w tej piwnicy nowoczesny sprzęt do szlifowania diamentów. Spodziewał się pan tego?

— Szukam go już od dwudziestu lat.

— Mówi pan poważnie?

— Bardzo poważnie. Co do wszystkich pozostałych pionków, to wiedziałem, jak funkcjonują. Pańskie zdrowie! — Opróżnił swoją szklanekę powoli i postawił ją na kontuarze mruczając: — Jeszcze raz to samo. — Po czym, ciągle z twardą miną, dodał: — Powinienem być zrozumieć już wczoraj. Dlaczego nie przypomniałem sobie o tej historii z Douai? Wysłałem moich ludzi we wszystkie strony oprócz tej właściwej, a kiedy wreszcie ta myśl wpadła mi do głowy, było za późno.

Patrzył jak właściciel podaje mu kolejne piwo. Oddychał ciężko jak człowiek, który hamuje wzburzenie.

— Co pan teraz robi?

— Odesłałem Barillarda do aresztu.

— Przesłuchał go pan?

— Nie. Jeszcze za wcześnie. Muszę przesłuchać przed nim kogoś innego, teraz, natychmiast.

Spoglądał przez witrynę na dom naprzeciwko, w szczególności zaś na pewne okno na czwartym piętrze.

— Aline Bauche?

— Tak.

— U niej?

— Tak.

— Nie byłaby bardziej przejęta w pańskim biurze?

— Ona nigdzie nie jest przejęta.

— Sądzi pan, że się przyzna?

Maigret wzruszył ramionami, zawahał się, czy zamówić trzecie piwo, zdecydował, że nie i wyciągnął rękę do pocziwego sędziego, który spoglądał nań jednocześnie z podziwem i pewnym niepokojem.

— Do zobaczenia wkrótce. Będę pana informował na bieżąco.

— Może zjem tutaj obiad, a kiedy tylko skończę tam naprzeciwko, wrócę do Pałacu Sprawiedliwości.

Nie ośmielił się dodać: „Powodzenia!”

Maigret, przygarbiony, przeszedł przez ulicę i po raz kolejny spojrzął w okno na czwartym piętrze. Przepuszczono go i tylko jeden fotograf miał przytomność umysłu, by zrobić zdjęcie komisarzowi pracemu prosto do przodu.



## VII

Kiedy Maigret głośno zapukał do drzwi mieszkania należącego do wczoraj do Manuela Palmariego, usłyszał wewnątrz nierówne kroki, po czym otworzył mu Janin z miną, jak zwykle, kogoś przyłapanego na gorącym uczynku. Janin był szczuplutkim poczciwiną, który chodził wyrzucając na bok lewą nogę i który, jak pewien gatunek psów, wydawał się bezustannie oczekiwać razów.

Czy obawiał się, że komisarz będzie mu miał za złe, że jest bez marynarki i w wątpliwej czystości koszuli rozpiętej na chudej i owłosionej piersi?

Maigret ledwie na niego spojrzał.

— Nikt nie używał telefonu?

— Ja, szefie, żeby powiedzieć żonie...

— Jadłeś obiad?

— Jeszcze nie.

— Gdzie ona jest?

— W kuchni.

Maigret ruszył naprzód. W mieszkaniu panował nieporządek. W kuchni Aline paliła papierosa nad talerzem z mało apetycznym śladami po jajeczniczy. Wcale nie przypominała owej wystrojonej i świeżej, bardzo „paniusiowatej” Aline, która wczesnym rankiem, starannie wypielęgnowana, wychodziła po za kupy do okolicznych sklepów.

Miała na sobie stary, niebieskawy szlafrok, którego jedwab przyklejał się do spoconego ciała. Czarne włosy nie były uczesane, twarz bez makijażu. Nie brała kąpeli i wydzielala teraz cierpki zapach.

Nie po raz pierwszy Maigret obserwował to zjawisko. Znał mnóstwo zalotnych i zadbanych kobiet, takich, jaką była Aline, które z dnia na dzień zaniedbywały się w ten sposób, pozostawione samym sobie po śmierci męża bądź kochanka.

Nagle zmieniały się ich upodobania i postawy. Zaczynały się ubierać bardziej wyzywająco, mówić wulgarnym głosem, używać języka, o którym długo usiłowały zapomnieć, tak jakby wychodziła na wierzch ich prawdziwa natura.

— Chodź.

Znała komisarza wystarczająco dobrze, by pojąć, że tym razem sprawa była poważna. Mimo to sporo czasu zajęło jej wstanie, zgaszenie papierosa na tłustym talerzu, schowanie paczki do kieszeni szlafroka i skierowanie się ku lodówce.

— Chce pan się napić? — zapytała po pewnym wahaniu.

— Nie.

Nie nalegała, chwyciła dla siebie butelkę koniaku i kieliszek z szafy.

— Dokąd mnie pan prowadzi?

— Powiedziałem ci, żebyś przyszła, z koniakiem lub bez.

Kazał jej przejść przez salon, popchnął bezceremonialnie do klitki Palmariego, w której fotel na kółkach nadal przypominał o obecności starego gangstera.

— Siadaj, połóż się albo stój... — burknął komisarz zdejmując marynarkę i szukając w kieszeni fajki.

— Co się stało?

— To się stało, że to już koniec. Nadszedł moment uregulowania rachunków. Rozumiesz to, tak?

Usiadła ze skrzyżowanymi nogami na brzegu żółtej kanapy i drżącą ręką próbowała zapalić papierosa, trzymanego koniuszkami warg.

Nie bardzo ją obchodziło, że pokazuje część ud. Nie bardzo to obchodziło też Maigreta. Nieważne, czy była ubrana, czy naga — minął czas, kiedy mogła być kusząca dla mężczyzny.

Komisarz był świadkiem swego rodzaju upadku. Znał ją jako kobietę pewną siebie, często arogancką, kpiącą zeń cierpkim głosem albo obrażającą go za pomocą określeń, które zmuszały Manuela do interwencji.

Znał ją jako naturalną piękność zalatującą nieco ulicą, co dodawało jej pikanterii.

Znał ją we łzach, jako zrozpaczoną babę albo tak dobrze grającą rozpacz aktorkę, że dał się na to nabrać.

Pozostało z niej tylko jakieś osaczone, zamknięte w sobie zwierzę, cuchnące strachem i zastanawiające się nad własnym losem.

Maigret obmacywał fotel na kółkach, obracał go na wszystkie strony, wreszcie usiadł na nim w pozycji, którą tak często widział u Palmarięgo.

— Przeżył tu trzy lata jako więzień tego urzędnika. — Mówił jakby do siebie, rękami szukając dźwigni sterujących maszyną, którą obracał w lewo i w prawo. — Tylko dzięki tobie mogłem się kontaktować ze światem.

Odwróciła głowę, zmieszana na widok męczyzny postury Manuela, siedzącego w jego fotelu. Maigret mówił, jakby przestał się nią interesować:

— To był złodziej starej szkoły, złodziej ostrożny. A przecież ci starzy byli bardziej nieufni niż dzisiejsze młodziki. W szczególności nigdy nie pozwalali kobietom mieszać się w ich sprawy, z wyjątkiem naganiania klientów. Manuel przeszedł przez ten etap. Słuchasz?

— Słucham — wybąkała głosem małej dziewczynki.

— Prawda jest taka, że na starość ten stary krokodyl zakochał się w tobie jak uczeń, zakochał się w dziewczynie zgarniętej prosto z ulicy Fontaine, spod szyldu podejrzanego hotelu. A przecież zgromadził sporą sumkę, która pozwoliłaby mu zaszyć się nad brzegami Marny albo gdzieś na Południu. Ale biedny idiota wyobraził sobie, że zrobi z ciebie prawdziwą panią. Ubierał cię jak damę. Nauczył cię manier. Nie musiał tylko uczyć cię liczyć, ponieważ akurat to umiałaś od urodzenia... A jaką czułość mu okazywałaś! Tatusiek tu. Tatusiek tam. Dobrze się czujesz, tatuśku? Nie chcesz, żebym otworzyła okno? Nie chce ci się pić, tatuśku? Mały buziaczek od twojej Aline? — Wstając gwałtownie, ryknął: — Dziwko!

Nie powiedziała ani słowa, nie poruszyła się. Wiedziała, że w gniewie jest zdolny przyłożyć jej w twarz ręką, jeśli nie pięścią.

— To ty go nakłoniłaś do zapisania nieruchomości na twoje nazwisko? A konta w banku? Nieważne! Dopóki pozostawał tutaj, zamknięty w czterech ścianach, spotykałaś się z jego współnikami, dawałaś im jego instrukcje, zgarniałaś diamenty. Ciągłe nie masz nic do powiedzenia?

Papieros wypadł jej z palców i zgasiła go na dywanie czubkiem pantofla.

— Od jak dawna jesteś kochanką tego zarozumiałego samca, Fernanda? Od roku, trzech lat, paru miesięcy? Hotel przy ulicy Gwiazdy był całkiem praktyczny dla waszych randek. I oto pewnego dnia ktoś — jedno z was, Fernand albo ty — zaczął się niecierpliwić. Mimo całego osłabienia Manuel ciągle trzymał się mocno i mógł żyć jeszcze dziesięć czy piętnaście lat. Zgromadzona sumka była wystarczająco poważna, żeby nabrał ochoty dokonać żywota gdzie indziej, w jakimś miejscu, gdzie ktoś by go woził na spacer do ogrodu, gdzie czułby się blisko przyrody. To Fernand czy ty nie mogłaś znieść tej myśli? Teraz twoja kolej, żeby mówić, ale pospiesz się.

Krażył od okna do okna ciężkim krokiem, spoglądając niekiedy na ulicę.

— Słucham.

— Nie mam nic do powiedzenia.

— To ty?

— Nie mam z tym nic wspólnego.

I jakby z wysiłkiem:

— Co pan zrobił z Fernandem?

— Jest w areszcie, gdzie dojrzewa czekając, aż go przesłucham.

— Nic nie powiedział?

— Nieważne, co powiedział. Zadam pytanie inaczej. Nie zabiłaś Manuela własnymi rękami, to oczywiste. Zajął się tym Fernand, podczas gdy ty robiłaś zakupy. Co do drugiej zbrodni...

— Jakiej drugiej zbrodni?

— Naprawdę nie wiesz, że w domu jest drugi nieboszczyk?

— Kto?

— No dalej! Pomyśl przez chwilę, jeśli nie grasz komedii. Palmari został usunięty. Ale Barillard, którego nikt nigdy nie podejrzewał, jest nagle zamieszany w sprawę przez policję. Zamiast zabrać was oboje na Quai des Orfèvres i przeprowadzić konfrontację, zostawiamy was każde w swojej pułapce, ciebie tutaj, jego twarzą w twarz z żoną, nie pozwalając wam na komunikowanie się ani ze światem zewnętrznym, ani między sobą i co to daje? Ty snujesz się od łóżka do fotela, od fotela do kuchni, gdzie przetykasz byle co, nie zadając sobie nawet trudu, żeby się umyć. On zastanawia się, co dokładnie wiemy. Zastanawia się przede wszystkim, kto może być świadkiem i kto może go wkopać. Słusznie czy nie, nie boi się, że będziesz mówić. Tylko że na górze, na poddaszu, jest może trochę szalony, a może sprytniejszy niż się wydaje współnik, który mógłby wszystko wyśpiewać.

— Stary Jef nie żyje? — wyjąkała.

— Nie domyślałaś się, że będzie pierwszy na liście?

Wpatrywała się weń zbita z tropu, nie wiedząc już, czego się uchwycić.

— Jak to?

— Znalezione go dziś rano powieszzonego w piwnicy Barillarda, piwnicy od dawna zamienionej w warsztat, w którym Jef Claes, a właściwie Victor Krulak, szlifował na nowo skradzione kamienie. Nie powiesił się sam. Ktoś poszedł po niego na górę. Ktoś zaciągnął go do piwnicy i zabił, nim założył mu sznur na szyję.

Nie spieszył się, mówił powoli i ani razu nie spojrzał młodej kobiecie w oczy.

— Teraz nie chodzi już tylko o kradzież, kamienie szlachetne czy sypianie z kochankiem w hotelu „Bussière”. Chodzi o dwa zabójstwa, a raczej dwa morderstwa, oba popełnione z zimną krwią, z premedytacją. W grę wchodzi co najmniej jedna głowa.

Niezdolna już dłużej usiedzieć, wstała i poczęła chodzić w tę i z powrotem, dbając o to, by nie zbliżać się do komisarza.

— Co pan myśli? — usłyszał jej szept.

— Że Fernand to dzika bestia i że ty zostałaś jego kobietą. Że przez całe miesiące i lata żyłaś tu z tym, którego nazywałaś tatuśkiem i który miał do ciebie zaufanie, jednocześnie nie mogąc się doczekać chwili, kiedy będziesz mogła gzić się w łóżku z tym łajdakiem. Że musieliście być oboje jednakowo niecierpliwi. Nieważne, kto trzymał pistolet, który zabił Manuela.

— To nie ja.

— Usiądź tutaj.

Wskazał na fotel na kółkach, ona zaś zeszywniała wytrzeszczając oczy.

— Usiądź tutaj!

Nagle chwycił ją za ramię, by zmusić ją do zajęcia miejsca tam, gdzie sobie życzył.

— Nie ruszaj się. Umieszczę cię dokładnie tam, gdzie Manuel tkwił przez większość dnia. Tu! Gotowe! Tak, aby mieć radio w zasięgu jednej ręki, a czasopisma w zasięgu drugiej. Zgadza się?

— Tak.

— A gdzie znajdował się pistolet, bez którego Manuel nigdy się nie ruszał?

— Nie wiem.

— Kłamiesz, bo widziałas, jak Palmari kładzie go tu każdego ranka, a potem, jak zabiera go ze sobą do sypialni. Czy to prawda?

— Może.

— Nie żadne „może”, psiakrew! To prawda! Zapominasz, że przychodziłem tu z nim pogadać ze dwadzieścia, trzydzieści razy.

Pozostała nieruchoma, z poszarzałą twarzą, w fotelu, w którym zginął Manuel.

— Teraz posłuchaj mnie uważnie. Poszłaś po zakupy cała wystrojona, pocałowałaś tatuśka w czoło, uśmiechnąwszy się doń po raz ostatni w drzwiach do salonu. Wyobraź sobie, że w tamtej chwili broń była jeszcze na swoim miejscu za radiem. Fernand wchodzi mając klucz, który pozwalał mu na kontaktowanie się z szefem, kiedy to było konieczne. Przyjrzyj się dobrze meblom. Czy wyobrażasz sobie Fernanda obchodzącego fotel i wsuwającego rękę za radio, by wziąć pistolet i wystrzelić pierwszą kulę w kark Manuela? Nie, moja mała. Palmari nie był naiwną dzieciną i nabrałby podejrzeń już przy pierwszym ruchu. Widzisz, prawda jest taka, że kiedy całowałaś tatuśka, kiedy się do niego uśmiechałaś, kiedy wychodziłaś zdecydowanym krokiem młodej, ślicznej i zalotnej kobiety, kręcąc małym tyłeczkiem, pistolet znajdował się w twojej torebce. Wszystko było dokładnie zaplanowane. Na klatce schodowej wystarczyło wsunąć go w dłoń Fernanda, który niby to przypadkiem wyszedł z domu. Podczas gdy ty wchodziłaś do windy z zamiarem pójścia po zakupy: piękne czerwone mięso, ładnie pachnące ogródkiem warzywa, on został u siebie, czekając na odpowiednią chwilę. Nie było już potrzeby obchodzenia fotela starego i wsuwania ręki za radio. Szybki gest po krótkiej wymianie zdań. Wiem, jak Manuel dbał o broń. Pistolet był odpowiednio naoliwiony i jestem pewien, że w twojej torebce znajdziemy ślady tej oliwy.

— To nieprawda! — krzyknęła rzucając się na Maigreta i okładając jego ramiona i twarz pięściami. — Nie zabiłam go! To Fernand! To on wszystko zrobił! To on wszystko obmyślił!

Komisarz, nie zadając sobie trudu, by odeprzeć ciosy, zawołał tylko:

— Janin! Zechcesz się nią zająć?

— Założyć jej kajdanki?

— Dopóki się nie uspokoi. Mam! Połóżmy ją na tej kanapie. Przyślę ci coś do jedzenia, a sam spróbuję jeszcze znaleźć lokal, w którym dostanę obiad. Niedługo będzie musiała się ubrać albo ubierzemy ją siłą.

## VIII

— Najpierw piwo, szefie.

Mata restauracja pachniała jeszcze obiadem, lecz ze stolików zniknęły już papierowe obrusy, w kącie zaś znajdował się tylko jeden gość czytający gazetę.

— Czy pański kelner mógłby zanieść dwie lub trzy kanapki oraz karafkę czerwonego wina naprzeciwko, na czwarte piętro, do mieszkania po lewej stronie?

— A pan? Jadł pan obiad? Tam już skończone? Chce pan też kanapek? Z szynką z Cantal?

Maigret czuł wilgoć pod ubraniem. Jego masywne ciało było puste, członki zwiotczałe, trochę tak jak u kogoś, kto dopiero co walczył z silną gorączką i kogo ona nagle opuściła.

Od wielu godzin parł naprzód, nieświadomy znajomego mu otoczenia i miałby kłopot, gdyby go ktoś zapytał, jaki dzisiaj dzień. Ze zdziwieniem spostrzegł, że zegar wskazywał wpół do trzeciej.

O czym zapomniał? Niejasno zdawał sobie sprawę, że opuścił jakieś spotkanie, ale jakie? Ach tak! W alei Gobelinów z Gelotem synem, który powinien był mu przygotować listę jubilerów, odwiedzanych przez Femanda Barillarda.

Wszystko to było poza nim. Lista przyda się później, komisarz zaś wyobraził sobie, jak w ciągu następnych tygodni mały sędzia będzie wzywał do swego zagraconego gabinetu świadka za świadkiem, powoli, powoli wypełniając coraz grubsze akta.

Świat wokół Maigreta zaczynał odżywać. Znow słyszał odgłosy z ulicy, odnajdował słoneczne refleksy i pomału delektował się kanapką.

— Dobre to wino?

— Dla niektórych trochę cierpkie. Pochodzi prosto od mojego szwagra, który robi zaledwie ze dwadzieścia beczek rocznie.

Spróbował tego samego wina, które kazał zanieść Janinowi, kiedy zaś opuścił restaurację Owernijczyka, stracił wygląd groźnego byka.

— Kiedy w moim domu zapanuje wreszcie znów spokój? — skarżyła się mijana przezeń dozorczyń.

— Niedługo, niedługo, droga pani.

— A jeśli chodzi o czynsze, to mam je nadal wpłacać młodej pani?

— Wątpię. Zdecyduje o tym sędzia śledczy.

Winda zawiozła go na czwarte piętro. Najpierw zadzwonił do drzwi po prawej stronie; otworzyła mu pani Barillard, z zaczerwienionymi oczyma, ubrana w tę samą sukienkę w kwiatki, którą nosiła rano.

— Przyszedłem powiedzieć pani do widzenia, Mino. Proszę mi wybaczyć, że panią tak nazywam, ale nie mogę się powstrzymać od myślenia o małej dziewczynce, która w piekle Douai włożyła swoją rączkę w dłoń mężczyzny z zakrwawioną twarzą, idącego prosto przed siebie, lecz nie wiedzącego dokąd zmierza. Pani także nie wiedziała, dokąd on panią prowadzi.

— Czy to prawda, panie komisarzu, że mój mąż to... Nie odważyła się powiedzieć: morderca.

Skinął potakującą głową.

— Jest pani młoda. Mino. Odwagi!

Usta pani Barillard wygięły się w grymasie: zdołała tylko wyszeptać:

— Jak mogłam niczego nie zauważyć?

Naraz opadła na pierś Maigreta, on zaś pozwolił jej wypłakać się do woli. Z pewnością któregoś dnia znajdzie nowe oparcie, jakąś dłoń, by się jej uchwycić.

— Obiecuję, że będę panią odwiedzał. Proszę dbać o siebie. Życie toczy się dalej.

Naprzeciwko Aline siedziała na brzegu kanapy.



— Idziemy — oznajmił Maigret. — Zechce się pani ubrać, czy też woli pani, żeby ją zabrać w tym, co pani ma na sobie?

Popatrzyła na niego oczyma kogoś, kto dużo myślał i powziął decyzję.

— Zobaczę go?

— Tak.

— Dzisiaj?

— Tak.

— Będę mogła z nim porozmawiać?

— Tak.

— Tak długo, jak będę chciała?

— Tak długo, jak pani będzie chciała.

— Wolno mi wziąć prysznic?

— Pod warunkiem, że drzwi do łazienki zostaną otwarte.

Wzruszyła ramionami. Nie obchodziło jej, czy ktoś będzie na nią patrzył, czy nie. Poświęciła blisko godzinę na toaletę, z pewnością jedną z najstaranniej szcych, jakie kiedykolwiek robiła.

Zadała sobie trud by umyć włosy i wysuszyć je suszarką elektryczną, po czym długo wahała się, nim wybrała kostium z czarnej satyny o nienagannym kroju.

Przez cały ten czas zachowała twarde spojrzenie i zdecydowaną minę,

— Janin! Zejdź zobaczyć, czy na dole czeka już samochód policyjny.

— Już idę, szefie.

Maigret i młoda kobieta na chwilę pozostali w salonie sami. Ona wkładała rękawiczki. Słońce wlewało się strumieniami przez obydwa okna otwarte na ulicę.

— Proszę przyznać, że miał pan słabość do Manuela — szepnęła.

— W pewnym sensie tak.

Po krótkim wahaniu dodała, nie patrząc na niego:

— Do mnie też, nie?

On zaś powtórzył.

— W pewnym sensie.

Po czym otworzył drzwi, zamknął i włożył klucze do kieszeni. Zjechali na dół windą. Za kierownicą czarnego samochodu siedział jeden z inspektorów. Stojący na chodniku Janin nie wiedział, co robić.

— Wracaj teraz do siebie i prześpij się z dziesięć godzin bez przerwy.

— Jeśli pan myśli, że moja żona i dzieci pozwolą mi spać! W każdym razie dziękuję, szefie.

Za kierownicą znajdował się Vacher, któremu komisarz szepnął kilka słów. Następnie usiadł obok Aline, w głębi samochodu. Po jakichś stu metrach wyglądająca na zewnątrz młoda kobieta odwróciła się do swego towarzysza.

— Gdzie my jedziemy?

Zamiast obrać najprostszą drogę do Komendy, przejeżdżali przez aleję Grande-Armée i okrążali Plac Gwiazdy, by wreszcie zjechać Polami Elizejskimi.

Patrzyła szeroko otwartymi oczyma, wiedząc, że według wszelkiego prawdopodobieństwa nie ujrzy więcej tego widoku. Jeśli zaś znów go zobaczy, będzie już bardzo starą kobietą.

— Zrobił to pan specjalnie?

Maigret westchnął nie odpowiedział. W dwadzieścia minut później szła za nim do biura, które komisarz z wyraźną przyjemnością ponownie obejmował w posiadanie.

Machinalnie uporządkował fajki, stanął przy oknie i wreszcie otworzył drzwi do biura inspektorów.

— Janvier!

— Tak, szefie.

— Zechcesz zejść do aresztu i przyprowadzić mi Barillarda? Proszę usiąść, Aline.

Traktował ją teraz tak, jakby nic się nie stało. Można by powiedzieć, że nie należy już do sprawy, że cała ta afera była jedynie antraktem w jego życiu.

— Halo! Proszę mnie połączyć z sędzią śledczym Ancelinem, Halo!. . Halo!... Sędzia Ancelin? Mówi Maigret. Jestem w moim biurze, tak. Przyszedłem tu właśnie w towarzystwie pewnej młodej kobiety, którą pan zna. Nie, ale to wkrótce nastąpi Zastanawiam się, czy chciałby pan być świadkiem konfrontacji. Tak. Natychmiast. Spodziewam się go lada chwila.

Zawahał się, czy zdjęć marynarkę, nie uczynił tego jednak przez wzgląd na mającego nadejść urzędnika.

— Zdenerwowana?

— Co pan sobie myśli?

— Że będziemy świadkami walki dzikich bestii.

Oczy kobiety załśniły.

— Gdyby pani była uzbrojona, nie ręczyłbym za jego głowę.

Mały sędzia wszedł żwawo jako pierwszy i spojrzął z zaciekawieniem na młodą kobietę w czerni, która dopiero co usiadła.

— Proszę usiąść na moim miejscu, panie sędzio.

— Nie chciałbym...

— Bardzo pana proszę. Moja rola jest praktycznie zakończona. Pozostaje tylko sprawdzić pewne rzeczy, przesłuchać świadków, sporządzić raporty i przekazać je panu. Tydzień papierkowej roboty.

W korytarzu dały się słyszeć kroki, po czym do drzwi zapukał Janvier i popchnął zakutego w kajdanki Fernanda.

— Jeśli chodzi o tych dwoje, od tej chwili są do pańskiej dyspozycji.

— Mam mu zdjęć kajdanki, szefie?

— Nie wydaje mi się to rozsądne. Co do ciebie, to zostań tutaj. Upewnię się, czy obok są jakieś osiłki.

Aline nastroszyła się ponownie z miną, jakby wahała zapach mężczyzny, który długo był jej kochankiem.

Nie kochankiem: samcem. Podobnie jak ona była jego samicą.

W tym spokojnym biurze spoglądały na siebie dwie bestie, tak jakby spoglądały na siebie na arenie czy w dżungli.

Wargi obojga drżały, nozdrza zaciskały się, Fernand zaś począł syczeć:

— Coś ty...

Stojąc przed nim z wygiętymi łędkami i napiętymi mięśniami, przybliżyła doń pełną nienawiści twarz i napluła mu w oczy.

Nie wytarłszy się, on także zrobił krok do przodu, z wyciągniętymi przed siebie groźnie rękami, podczas gdy mały sędzia, skrzepowany, wiercił się w fotelu Maigreta.

— To ty, suko...

— Kanalia!... Łajdak!... Morderca!...

Zdołała podrapać go po twarzy, lecz mimo kajdanek chwycił jej rękę w locie i wykręcił ją, pochylając się nad nią z całą nienawiścią świata w oczach.

Stojący pomiędzy swoim biurem a biurem inspektorów Maigret dał znak, po czym dwaj ludzie rzucili się, by rozdzielić tarzającą się po podłodze parę.

Bezładna bijatyka trwała kilka chwil, aż wreszcie Barillard z zakrwawioną twarzą został podniesiony, natomiast Aline, również ze skrzepowanymi rękami, popchnięta na krzesło.

— Panie sędzio, sądzę, że wystarczy ich przesłuchać oddzielnie. Najtrudniej będzie zmusić ich nie do mówienia, lecz do milczenia.

Louis Ancelin wstał, odciągnął komisarza do okna i pochyliwszy się nad nim szepnął, nadal wstrząśnięty tym, co właśnie ujrzał:

— Jeszcze nigdy nie byłem świadkiem takiego wybuchu nienawiści, takiej eksplozji zwierzęcości!

Maigret rzucił przez ramię Janvierowi: — Możesz ich zamknąć! — Po czym dodał z ironią: — Rzecz jasna, oddzielnie.

Nie patrzył jak odchodzą, zwrócony ku pogodnemu obliczu Sekwany. Szukał na skarpach znajomej sylwetki rybaka z wędką. Od wielu lat nazywał go „swoim” rybakiem, chociaż bez wątplenia nie był to ciągle ten sam wędkarz. Istotne było to, żeby przy moście Saint–Michel zawsze był jakiś człowiek łowiący ryby.

Ciągnący cztery barki holownik wracał pod prąd, pochylając komin, by przepłynąć pod kamiennym łukiem.

— Niech mi pan powie, Maigret, które z nich według pana... Komisarz nie spiesząc się zapalił fajkę, nim odpowiedział, ze spojrzeniem ciągle utkwionym na zewnątrz:

— To pan wykonuje zawód sędziego śledczego, prawda? Ja mogę ich panu jedynie dostarczyć takich, jakimi są.

— To nie był piękny widok.

— Nie, to nie był piękny widok. W Douai też nie.

*Epalinges, 9 marca 1965 r.*